

STANISŁAW PIĘTAK

WIERSZE WYBRANE

5 BIBLIOTEKA
ZAPOMNIANYCH
POETÓW



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

STANISŁAW PIĘTAK

WIERSZE WYBRANE

REDAKTOR SERII

PIOTR MITZNER

5 BIBLIOTEKA
ZAPOMNIANYCH
POETÓW

WYBÓR I POSŁOWIE

LESZEK SZARUGA

WYDAWNICTWO OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”



PEJZAŻE ZE SNU

1. Przestrzeń już wziąłem w dłonie i oczom nasypałem
błękitu jak lez.

Piersi – wiklinowy koszyk tam w górę.
Jaś Kempa dał ci lilię, Róziu –
więc czemu idziesz w las
kołysać wiankiem włosów w płomień rozwiniętą burzę?

Za oknem Ruta pije rozwłóczony zachwyty gwiazd –
A ten tu bez
i tamten jak twe usta ...
i –
Lecz palce w rozlupane drzwi.
Przeciągnął dalej oczy jak spłoszoną gałąź wiatr.

5

2. O ojcu już nie mów, mamó.

W niebo: kipiących fiołków kielich ptak,
tu niżej gałąź trzmieli i serce na nitce –
to ja.
Czarna wypłacze linię wierzb,
jej oczy olbrzymieją w biało-szafirowe lustra.
Nagi księżyc nie odchodzi, wciąż dusi jak zapach,
słupami srebra nad strumieniem gra.
I nie mam rąk,
zostały szepty włosów i oddech oczu,
który motylami z nieba nie powraca.

Ślepień jak kruche kamyczki zgubisz
w kwitnących włosach gwiazd –
Ruto –
a tam przecież Róża
ramieniem pchnięta znów w ciszę stoi.
O! oczy jak mokre bratki wciąż na mnie odwraca.
Powiedz:
tu cichutko jak skrzypce moja krew,
w białą oddal szum dłoni.
Płatki lilii, błękit, błękitne smugi,
z twojego czoła wypływa srebrny nów.
Zgłoski na ustach są błękitnym szkłem,
nie mogą złączyć słów.

Pozostań, pozostań!..
Mieliśmy razem krowy poić.

DZIECIŃSTWO

Nad miedzami rozplakane oczy –
wiatr je otula gałązkami,
gdzie...? gdzie jestem?

Najszybciej ręce wrosły w ciszę,
oddech zdmuchnięty w żyłę z róż
dymem po niebie serce włókl, ponad drzewami smutku
świerszczy czekał.

Któż miał spluskane zmysły napiąć w powróż,
gdy usta dusił najwierniejszy żal? –
w włosy sznur złotych motyli,
rozpluskała się brzozami w ścianę z skrzypiec wmurowana dał,
że dłonie dzwignęły z powrotem zachwyty szarej myszy.

Drogą kobiety: olbrzymie, czerwone ćmy –
oczy szukały potem drzew
błądzących cicho za wstążkami roz tęsknionych pszenic;
w grube załomy topól nachylona wieś
przypadła jeszcze niżej kolanami strzech ku polom,
a matka na niebie snując jaskółkami uśmiech
rozgarnęła zawój chmur rękami białymi.

Nad miedzami rozplakane oczy,
od nich uchodząc
w dolinie z fiołków na zachodzie wysuszyłem zadymione usta,
gdzie stary Jaś, brat babki, zapalił przed wieczorem tęczującą
faję.

Świerszcze zbłądziły w dygocących uszach,
gdy krowa w oczach niosąc podróż brzóz stanęła naprzeciw,
z nią wiatr: kosz błękitniejących kwiatów.

Pochylony ku drodze, opięty smutkiem odchodzących brzóz,
przeczułem czteroletni chłopiec po raz pierwszy oddalenie
dłoni –

wypadły oczy, oczy, mokre oczy krów,
nadjeżdżający huk pociągu przeciął mi żyły u wylotu szyi.
Szumiał za chwilę tak jak ja kopnięty jedwab zbóż,
a tak – a tak, że nie ma już parującej ciszy,
wzdłużyły łkanie ziemi nagłym hymnem rozciągnięte szyny,
żelazny pociąg wywiózł w spoconych szybach słońce, chmury
i mój mózg –

długo dymiło szkło, dymiły czyjeś oczy za zielonym wzgórzem,
aż róża upadła na spuchnięty wzruszeniami brzuch
i kruche palce zahaczyły prędko o mleczny horyzont.

Inaczej płakały oczy,
inaczej wiatr wiał w złoto rozpluskany,
gdy zza wzgórza sfrunęła ku włosom gałąź najsmutniejszych
gwiazd –

przy stopach ze sady zalił się niebu tkliwy pyszczek myszy,
nie trzeba było pytać odtąd o woń pszenic,
szumiały długie zmuzycznione szyny –

Wieczorem w fantastycznie przemienionym domu
patrzyłem,
usta zapalone od stukotu krwi,
na dyszących ścianach wyrastały krowy, drzewa i pociągi.

PIERWSZA PODRÓŻ

Niebo zalane snami co świt ku nowym nocom rosło,
aż w ten dzień pchnięte szczypiącym płaczem rąk
włosami wierzb stanęło na uwrociu,
gdy serce całując przestrzeń
błękitnie weszło do zadrzewionego pociągu.

W krwi długo potem płakała tęsknota szyn,
w oczy uciekał jaskółkami z chmur opuszczony smutek słupów.
W wieczór nawiany muzyką omijanych pól
i bladych palców drzeniem
naprzeciw w ślinną zadumę wspiewanego okna stałem
ośmioletni chłopiec, z wiecznością pod pachą, oczekujący na
cud.

Wiatr drzewami jak sadzą jeżył ciszę kwiatom uchylający
horyzont,
a gdy samotniej zakwilil drutami elektryczny prąd,
jedwabna gałąź snu sfrunęła ku uszom jak błękitne tchnienie.
Znów pociąg rozwoził po mózgu powódź krów, powódź koni,
wtulone w żal odchodzących psów,
aż z łkaniem zbudził się na rzęsach
nagłym krzykiem za oknem wykrojony postój.

Zranione oczy, oczy –
w żółtej, zduszonej poczekalni serce prosiło każdy kąt o litość
i nim znalazło cię wspartego tłustymi ustami o bufet,
strach wśrubował dwa noże do zdyszanej szyi.

Ten Żyd z kłódką na czole wspinał się po linie w sen
i przeto najdłużej krzyczał nade mną w bagnet wmurowany
żołnierz.

Od kolb na lewo uciekałeś ty i tłum –
znów podniesiono mnie, jak gałąź, z bruku,
czepiając się oczami falujących głów
szedłem nie ja: krzak rozżarzonych w krew, dygocących
zmysłów.

Czarne niebo spłynęło ku nam i ku nagiej rampie
i gdy, jak muchy, ludzie pogubili usta w zadymionych rowach,
ostatni położyłeś się na wznak przy tętniących szynach.
Tę noc wszyły mi słupy w mózg parzącym pukłem drutów –
oburącz ściągając niebo jak skórę
gryzłem uciekający widnokrąg.
Gnały pociągi walące w skronie tysiącem szalejących młotów,
oczy, oczy –
o oczy nie pytał już nikt –
krnąbrny, żelazny most wyskoczył wtedy z piany
i drugi łuk w ściszoną chmurę jak pazury wbił.
Dumna pogarda szyn
rozpruła mi ręce zawczasu zdmuchnięte w żalność myszy jak
w ogień.

Jeszcze raz runąłem w trawę jak podcięty słup
i trzymając guz w gardle
z sercem w dłoni czekałem na biegnący most.
Konstrukcje, konstrukcje, cięższe niż 100 kilogramów –
wypłułem oczy,
lecz gdy śmierć kołysała się wciąż jak szum nachylonych palców,
pokutym mózgiem rozbiłem w siwą ślinę
martwej ciszy dzban.

Pociąg, jak ognisty rząd domów, wleciał na wilgotną rampę
i zamulone niebo rozpruł w najbujniejszy pejzaż.

Ledwie, ledwie, lękając grudki płaczu,
szedłem –
w woni rozkwitłych chmur mały, nieprzytomny ptak.
Z drzew wyfruwały szafirowe słońca.
Jak inny byłeś wtedy ty i w struny różowiejący na drutach wiatr.

DYNÓW

Julianowi Przybosiowi

W obłoku z woni tułała się gwiazda zamulona w sen –
po cóż pytać o melodię chmur wilgotną jak śpiew uwieczionych
psów,
gdy chłop na lewym wzgórzu
co wieczór orał niebo stratowane czujnymi różami;
z krzyczących oczu błękitny wypadł pieniądz znów
i miasto wmurowane w szkło
odwioził na północ w siwy sznur dymu wkołysany pociąg.

Dlaczego palce szukały ciszy sekund? –
w krew, w krew mleczne włosy oddaleni.
Z powrotem jaskółki odśpiewane z miasta
przyniosły w dziobach gałąź najtkliwszego dymu.
Już żółta rdza cegiel ciężka jak dzwony
wśrubowanego w tęsknotę wieczoru idzie,
u studni na prawo zmierzch oczy dziewczętom błękitem
poufale poi
i krzyk brudnych Żydziąt przedłuża ulice aż dotąd,
gdzie błądy rabin długie ręce podaje w złoto wfalowanym
polom.
Wplecioną w woń gwiazdę oczy zamknęły na skobel –
cóż że drożyny świerszczy
z miasta przywlokły radość odszeptaną zielenią u wylotów ulic,
szyny trysnęły krwią, na północ pociągnęły ciężar opuszczonych
rąk;
za wzgórzami, wzgórzami

opięty ciszą drutów płakał z oczu wypłuty przed wieczorem
pieniądz,
a tam, gdzie stary chłop niebo orał stratowane mokrymi różami,
wiatr znów wszeptał matkę: pion kłujących kwiatów.
Gdy błądy rabin pociągnął ulicę kasztanów na prawo,
tam San płaczący ciszą odchodzących topól
przybliżył się ku plecocom dziewczyn wilgotnymi pyskami
chmur –
wtedy oplulem drożyny świerszczy zatrutą smutkiem krwią.

Brudne Żydziałka obtłukiwały krzykami mój żal,
w szkło wrośnięty, nawiany dymem Dynów
ciągle czekał, szeptem cegieł odpływał do pól.
Raz tylko zawyły oczami z igieł piersi,
aż wypadł z nich srebrem kwitnący półksiężyc –
szyny przebiły potem mózg muzyką szklanych drutów
prowadząc drożyny świerszczy, bladego rabina, mokry pieniądz | 3
i gwiazdę w woń wspanianą na twoim siwym ramieniu.
Wróciłem syty szeptów chłopiec
ocierać palcami na pułapie twoje oczy, matko, zaginione
w domu.

HALUCYNACJE

Niebo – płacząca kula z miedzi
(zamknij oczy).

Nie zaplącą rude włosy muzycznego szumu,
w rynny wpada noc – gorzka tęsknota ciszy.
O głodem zatruty przyjacielu,
gdybyś w śnie nie żał skradzionego chleba,
oczami byś wypłakał złoto rozszlochane szyby.

Na bruku, na kwadratowym bruku – latarnia,
skrwawiona topielica nocy.
Spuchniętymi pyskami okien
wiatr płatki mokrego złota na sprzedaż wywozi.

A przecież w żółtym sześcianie murów pluszczącego szkła
i tak jest za dużo,
pomóż mi w pięść zamknąć trującymi widzeniami pękające
oczy.

Nie to jest ważne, że deszcz w kamiennych kostkach wypłakał
klawisze

ani że w lustrze z prawej strony
biała pani zaplotła w włosy dwie czerwone róże.
Wystarczy wychylić się z czwartego piętra,
by zatrzęszczała skuta cisza
i szewc przerwał zelowanie butów w suterrenach.

Kto słucha teraz żalosego odjazdu tramwajów do remizy? –
aż tu przyplynał w błękitnych pudełkach roztkliwiony skrzyp.

Drutom powiedzcie, niech nie dymią białymi kwileniami,
ja tu mam rude włosy dżdzu,
wiatr płatki mokrego złota do oczu z dołu przywozi.

Pani, nie zdejmuj sukni z ramion.

Dźwięczące twoje piersi czerwonymi pszczołami oczy mi
pogryzą,

a przecież naprzeciw płowym profilem wspaniana do szyb
kruchymi palcami ukochać chce bladego Szopena
malutka Maria Litwin.

W czarnych ustach fortepianu płacz złocistych włosów,
umierają białe ręce

i tylko twarz oczami za błękitnie
na wprost ściany kwitnie.

Twój oddech żre mi uda alkoholem warg dzikich,
jak woń spoconych pachwin.

Pani, tramwaj już wypadł ze szeleszczących szyn
i strumień drutów naprzeciw deszczu fioletowo kwili.

Więc czemu, naga, wciskasz piekące ciało w ramy rosnącego
lustra? –

uważaj, twoja kołyska biodr jest jak ognista rzeka.

Gdy ona połamię mi ręce,

któż mi je będzie do płatków złota tulić?

Tamta kobieta, co jest o 10 kroków od ciebie i stąd,
czesze palcami zwiędniętego ciała wymię.

Zgaście latarnię – skrwawioną topielicę!

i niebo miedzi zgaście.

Bury buldog ohydnie jak goryl

schyla nad jej ramieniem kwadratowy pysk –

chwila, sycząca chwila –

i oślinioną mordę w jej zmarszczony kark, jak w usta!...

Przyjacielu, przyjacielu, znów rudych włosów szumu nie
rozumiem,
o wyrzuc z oczu skradzioną skórę chleba
i dłońmi obejmij moją pękającą głowę.
Niebo zmienione w atrament wypluwa czerwoną żądzą skłute
twarze,

a niżej w dusznej zieleni
kobiety nagie biodra podają wiatrom do kąsania.
Że chwije się sześcian szyb i wyje latarnia,
to jeszcze nic,
lecz czemu już nie płacze palcami mała Maria Litwin?
W czarnych ustach fortepianu biała suknia
i nawet twarz ustami czerwono nie kwitnie.

Pani, błękitna pani, co idziesz naga naprzeciw mojej szyby,
pościelą swego ciała zakryj te żółte kobiety,
co rzą jak klacze w uprzęży włochatych drzew.
Kocham twoje muzyczne ramiona,
a pragnę dziś tylko źrenic dymiącej zieleni –
dlatego przestań szeleścić udami,
one palą, jak zagotowana krew.
Chudyszewc płynie załatać mi wrzące oczy czarnymi zelówkami,
więc po co pytasz ty, pyta Szopen i żółta kobieta z psem?
Chce mi się jeść, jeść, że zeżarłbym twoje śpiewające oczy,
gdyby się dały w parujący funt chleba zamienić.

Jesteście już blisko
i słyszycie, jak woła klawiszami rozplakany bruk.

Fryderyku, czemu podążasz po najdalszej ścieżce
i na rękach unosisz złocistą głowę topielicy?
Biały cafun, białobłękitne oczy,
Nachylony ku niej, szepczesz: lilio, kwitnij!...
A jej ani wiatr we włosach muzyki nie liczy –
Wietrze, uchroni od śmierci małą Marię Litwin.

Mnie nic nie uchroni,
gdzieś polna noc –
nie usnąć w wiśniowej ustroni.
Zsuwają się z poszarpanych chmur jadowite głowy
ku drzewom,
gdzie płomienistymi grzywami spętane kobiety rżą.
Twoje ciało, pani, jest białą łodzią.
Gdyby tak, nie widząc, płynąć w pościeli włosów twoich
płowych –
lecz otwierają się nowe dna,
wiatr przegania tabuny piersi, ust i wydętych łon.
O przelśniona w najbielszy błękit,
z wymiotami w dłoni ku tobie płynę.
Zjawy nad głową, jak rude błyskawice, chwieją się,
jak konie się gżą.

Nie spadnie na czoło wianek gwiazd,
Przyjacielu, wyzwól mię zawojem swoich rąk z tej strasznej
męki.

ORKA

Czerwone płaty w mózgu,
czerwono na niebie od parujących kling.
Karasiu –
ściekała z oślinionych oczu twoich krew,
wiatr niósł parzące chusty,
tumany żółtych obłoków gnał
czarnymi konarami drzew.

Mokra morda, wzdłuż skrwawionych nozdrzy siwa sierść.
Znów widzę. Pod stopami płomień.
Karasiu, chodź! Jeszcze tylko 19 skib.

19, 19... W nagich bokach dwie śruby.
Jak tu dalej kruszące się nogi nieść!
19, 19 wciąż. Łuny fioletu, nie mam sił.
Przerzynają mózg czarne i czerwone piły.

Po co stanęliśmy w połowie –
złą żółtą pianą przeklinał,
jak nożem uderzył w nas bryłami.

To nie ja płakałem, nie ja,
Choć bunt drzazgami w piersi mi się wbił.
Chwiało się niebo rude od potarganych grzyw,
17, 16, 16... Nie widać ludzi, nie widać drzew,
ach, serce, wolniej! Pękną na skroniach żyły.

Kar... Karasiu –
na miedzę padłem, daleko była śmierć.

Przyskoczył do ciebie – spojrzenie z kamieni...
Drżał nagi siny grzbiet, płakały słoną czerwienią oczy.
Jak prędko grubą pięścią zawadził o krwawiące nozdrza,
kolanem jak prędko uderzył cię w chory brzuch!

Najpierw był jęk. Potem niebo pękło.
Z dna wyszedł w złocącej się lunie,
błękitna piana w ustach.
Ostatni raz twój łeb w skrwawionych chmur tumanie
potoczył się w dół,
już i płacz mi rąk na krzyż nie złamie.

Nie trzeba mi nic.
O ziemio, jak pieką słone bruzdy twoich pól!
Ziemio, daj zapomnieć, przyjmij...

Z omdlenia podniosła mnie ręka zimna.
Karusiu, oto płyną różowe płomyki zórz,
podnieś się, nie kalecz ziemi łzami.
Krwi nie ochłódzą ci w pysku wiatru cienie.
Zostaniemy znów na długo samotni, sami.
Z ciężarem win na barkach uchodził w płonący świt
nasz ojciec.

O POEZJI

Byłaś siłą, co zmieniała co wieczór ciało moje
w ekstazy, zwierzęcy krzyk.
Litera a czy o – słowa: żar, żądza, nienawiść
wybuchały nad głową żrącymi pochodniami,
czernią, fioletem i krwią przeszywających jak miecze błyskawic.
Biegłem – i byłem jak jęk wichru niesiony pustymi polami,
jak cwałujący bolesną radością ogień.

Pod czarnym niebem przegalopowały gniade konie,
rzeniem otwierając drogę w inny świat –
padłem i długo wstrząsające płaczem ciało
tuliłem w szorstki chłodny piach.
Nie można było złączyć słów – nazwy były mdłe –
a przecież trzeba było oddać rytm zachwyty i grozy.
Usiadłem w kucki i jak polny pies
zawylem rwącą pieśń tętniącej zorzy.

*

Przeplęnęło tyle zjawisk, wzruszeń, barw.
Dziś już mam nad tobą władzę, Siło.
Gdy pragnę, smucisz jak przeciągły śpiew sów,
rozsypujesz marzenia jak melodia skrzyptków
i zboża szum –
precinasz nienawiścią jak rzenie pędzących rumaków
i tętent ludzkiego buntu.

Jak maszt podniosę Cię nad siebie, męko i chwało młodości.

ZIEMIA ODPLYWA NA ZACHÓD

(POEMAT)

Bratu Frankowi poświęcam

I

Bure płaty roli, gonitwy obłoków górą, a na łące
w żółtych dalach rzą konie, pędzą –
i tylko krowy stoją unosząc łby i smutnookie zające
po bruzdach się chylą, słuchami strzygą w wiatru strudze.

Zabawa: koło paleniska piszczą dziewczęta,
w dym wlatują i zaraz rozsypują się kołem
białym ku chłopcom, co unoszą się, śmiejąc, na piętach –
radość ich jak pełny księżyc toczy się łąką, polem.

Zabawa: Stefan Galus pognał za Różą spod Kółka.

Siecze wiatr, smaga ciało jak bicz z gałęzi.

Już ją schwycił, lecz spojrzała taka tkliwa, cichutka,
że opuścił ręce, milczał, po raz pierwszy się zawstydził.

21

„Czego nie przychodzi do ich domu?” – To ona rzekła nagle
i odwracając w światło twarz, kulila cicho stopy bosc.

Krzyk – ryczą chłopcy, pył wije się jak złoty żagiel
nad jej głową, więc że przyjdzie – to tylko cichym głosem.

I nie ma czasu nawet podnieść jej dłoni, nachylić –

czerwona chmura wybuchła nad wioską – z nią krzyk.

Wojsko idzie! Hej, wojsko idzie! Gwar rósł, dzwony biły,
więc chwyciwszy się za ręce, w smugach kurzu pognali do wsi.

*

Szeregi, szeregi. Twarz za twarzą jak cienie na fali.

Czoło wojska wszyło się w zaulek, gdzie dwie topole

przechylwszy się ku sobie, konarami objęły się jak siostry,
a końca jeszcze nie widać – terkocą
monotonne wozy armat, rytm ich daleki, lecz ostry,
uderza o usta: dalej, dalej, dalej!...

Nagle galop. Wódz na siwym koniu
przejechał i przed front żołnierzy coś krzyknął po rosyjsku.
W jednej chwili wąż olbrzymi wojska pochylił się ku ziemi,
zadudnił dalekim echem, stanął.
Błyszczą słońce w bagnietach, żołnierze
ocierają rękami twarze potem złane.
Znów tętent. Wódz na ulic skrzyżowaniu
koniem się wspiął i jednym słowem
napięty świat uczuć żołnierzy jak taśmę rozwinął.
Wszyscy nabici w jeden krzyk – krzyknęli
i szybko zapełnili rowy falą huczącą, białosiną.

*

O słońce! rumiane płaty światła
uciekały ku tęskniącym ceniom płotów.
A z chmur – porwanych na bandażu szlochów
ciekły włosy dymu, cisnąc się do ust.
Postój w złotawej wiosce – niejeden westchnął
do więdnących nad płotami splotów
dziewczyn, co smagłą cerę czesały
chyba w oparzu poranka: różanego snu.

Jaka nazwa? – lecz co to ci powie?
Wystarczy, że po wielu dniach wspomnisz tę surową woń chat
w czarnym wilgotnym dole.

Już za chwilę otoczyłyby cię dymy dalekiego kraju,
więc wstań!... Podkowy zatętniły na szosie: alarm!
Żołnierze zepchnęli wspomnienia z ócz i skoczyli po broń,
wnet drogą wiła się z powrotem płowa, dudniąca fala.
I tylko drzewa szumiały liśćmi,
szumem otuliły niejedną młodą głowę.
Dalej, dalej!... O czym myśleć – chyba o śnie
długim, bezpamiętnym, o spoczynku nowym.

*

W złotoróżowym świetle ludzie wracali do chałup.
Błyszczał staw, chude drzewa zwisały liśćmi
nad wodą, rozwłócząc w głębi ścieżkę żalu.
Kobiety szły wolno, ręce pod słońce unosząc do oczu.
Za nimi dziewczęta, szepcząc – tuż kudłate psy.
Chłopcy na końcu. Nad wioską siwy wieczór
niósł tę ciszę jesienną, co była z dymu, z wonnej mgły.

23

Stanął Adam Kulig i już otworzył usta, chciał mówić,
lecz nawet pod złotem kasztanów nie przystanąły kobiety.
Echa płyną jak tęskny śpiew od dalekich równin.
Gęgają gęsi, wśród cieni drzew na drodze wieprz pędzi.
Jak cicho! Róża otwarła bramkę, oparła się o płot,
lecz Stefan? – Stefana nie było, szeleści ino biała mgła gałęzi.

II

Dzień po dniu. Listopadowy ciepły wiatr
po uwrociach zwierzbiami błdził – szklila się woda czarna.
W ogródkach dziewanny – najcichszy kwiat,
w ten czas listopadowy potoczył się nad wsią przeraźliwy huk
armat.

Ognie. Zadrzały od ogni płowe sandomierskie wzgórza,
gdy spłynął wieczór – straszno,
wily się przez czarny szlak jedna za drugą krwawe róże.
I nie ma nikogo wśród głuszy serca,
tylko niebo rozdarte pożarem wzgórz
i jęki wstrząsanej eksplozją ziemi.
Dokąd pójść? Jakim dałam się pozalić? –
Róża biegła po łące, nie widząc koni, wołała.
Nikogo ... Zmierch tylko jak popiół gorzki,
nie ma końca dla iskrami porywanej fali.

Była niedaleko szosy – już drzewa, już domy...
Gdy nagle ziemia, jakby ją rozcięto u samego spodu,
zadrzała, oślepiający reflektor skuloną wieś
jak wiecheć słomy w jednej sekundzie zapalił.
Znów padła na twarz i na brzuchu przyczołgała się do rowu.
Widać ulicę rwanych płomieniami drzew.
Chłopcy od łąk na koniach pędzą do domu –
jeden z pierwszych na drodze Stefan, koń pod nim
jak krew.

„Stefan! Stefku!” – poderwała się, krzyknęła
i znów runęła na twarde bryły ustami.
Nikogo ... Jaka głusza! Zawaliła się pamięć nad głową
ściętymi w poświście fioletowych światel drzewami.

III

Płaty dni brzemienne od słów na oczach.
Pędziły mgliste chmury w czarną nędzę drzew wyplakany
wschód.

Łuny wschodzącego słońca, co rano były w szyby,
w niskich izbach czał się mdłym odorem szczurów głód.

Wyły kudłate psy i smukli chłopcy co wieczór
prężne boki tarli jak sierść, ustami gryząc dal chłodną i siłą.
Śnieg, tumany śniegu o zabitych wieści nanosiły do oczu.
Grudzień, luty, już marzec – jeszcze w kwietniu nawiało zimą.

Wreszcie wiosna. O czasie przedwieczornych burz,
nie zapomną usta surowej woni łąk i dymu,
co jak słupami kwiatów nad chatami się włóki,
w zachwyceniu gwiazd jak dotyk oczu ginał.
Poła co rano płynęły w mgłach, o wschodzie.
Płowe skowronki śpiewem zawisały w strugach złota.

Już wierzby zakwitły żółtym puchem i zmierzch
sine cienie obłoków na liściach motał.
Przestrzeni, poprzerastały twą pustkę
kolumny światła i lustra zielonopłowe.
Strumień na zagaju uniósł się jak tęcza szklany,
owinęły go kaczeńce, zatuliły w szeleszczącą mowę.
I dokąd iść? Nad włosami złotawobiałe chmurki,
rzeźwa dal modrzeje mlekiem podmuchów i szumem.
Kwiaty w powietrzu i na ziemi. Za śliwami jabłonie,
potem grusze wpływają do ogrodów białym tłumem.

A na wsi cisza. Kobiety i dziewczęta
pochyle od smutku po uwrociach z motykami błędą.
Sadzenie ziemniaków, grochu, więc skąd tęsknota? –
skąd tyle mgły na oczu smudze?
O roku z woni i smutnego zapatrzenia –

czad żalu słodką trucizną wsączył się do krwi.
Dzień w dzień dzwony z frontu żalobą w wioskę biły.

Więc cóż że strzechy kąpały się w siwych oparach zapachu,
na świat jak często nie można po wieczorach patrzeć!...
Podchodzisz pod drzwi, chcesz mówić,
lecz w izbie słychać szloch, to matka znów płacze.
Jak tedy nie odejść i na pustych polach
w strugach mroku nie wyciągnąć ramion.
Cisza zmierzchu ma dotyk chłodnych rąk,
nadleci szeptem dalekich żab, nie trzeba czekać na nią.

Krowy co wieczór wracały z pastwisk i drogi
i uliczki zapelniały przejmującym rykiem.
To była jedyna radość. Leciąły kule kurzu
i wyżej nad drzewa rozmamłanych dzieci głośne krzyki.
Lecz wkrótce to gasło i w siwą przestrzeń
surowe tony dzwonów płynęły cichą melodią na ave.
Potem czerniały wzgórze, płynęło światło gwiazd.
Tak co dzień. Było to odwiecznym prawem.

IV

Lecz noc majowa – zadrgały w ogródkach krzyki.
Stada cieni przy płocie. Księżyc we włosach.
Zapach, ścieżki zapachu. Na radość trzeba skocznej muzyki.
Wybiegły dziewczyny, pod kasztanami stanęły bosc.

Ty nam, Janku, graj! Galopem runęli na rosadziska.
Od płotów po srebrny staw rozsypali się kołem.
Szelest liści, gęsi jak chmurki na wodzie. Chałupinka niska
płynie na jaworze, no to dalej! hen na jasne pole!

Kasztany podeszły bliżej, z tamtej strony akacje białe.
Niebo jak srebrny pałac zaludniło się mrokiem, ogrodem –
i tylko cienie, cienie wonne lecą, ciało tęskni za ciałem.
W rytmie harmonii daleko, daleko niosą się echa młode.

„Czy to prawda, że upadł wczoraj z koniem na bagnie?” –
rzekła Róża i tak wolno pod księżyc uniosła twarz.
Już cicho. Ostatnie pary nikną. Obłok jak złote jagnię
idzie drogą. Szepty, kołyski szepków czeszą staw.

„Tak, lecz co tam? Ot tylko uszy wypląwały się w wodzie”.
Uśmiechnął się i lekko poderwał ją ku polom.
Liście, szelest liści. Jeź czy kuna przemknęły pod spodem.
Nad stodołą obłok zakwitł białobłękitną topolą

„Stefan, Stefku!” – to tylko szepnęła, gajem
białym przechodzi cień, szmer leci od wód.
Psy milkną i cisza wonna młodziutkim majem
rwie włos, pierś do piersi, nogi podrywa do nóg.

27

„Na jesień wezmą mię, lecz chyba nie zginę”.
To on powiedział. Wracali. Róża oczy miała szkliste od łez.
Koguty – pierwszy krzyk. Drzewa różowo płyną
i księżyc spada na sine pole – śniący pies.

V

Świt za świtem ogromny. Gonitwy owadów.
Dopiero wieczór cichł huczący wiatr, czerwone chmury kurzu
na grzywach spoconych koni wbiegały do sadów,
zmierzch cieniami krów rozwłóczył się w podwórzach.

Świt za świtem stalowokrwawy. Wiatr, znowu wiatr.
Aż jednego ranka poniosły się górą strzały,
poczęły drzeć okienka u białych ścian.

Bitwa – tam za Dzikowem! Krzyk leci wśród drzew.
W żółtej cieczy obłoków okręty, to płyną bociany białe.
Wieści? Jak – nie ma wieści? – Od strony lasu
ceglasty rumieniec pełził. W dyszącym upale
wiatr nacichł, zastygła na niebie czarna krew.

I z chwili na chwilę ciemniej. Suną sine fale
poprzerastane ryżym mułem jak kudłami.
Przerazająca głusza – nie widać nic –
przyczała się w mroku ziemia drżącymi drzewami.
Kilka jaskółek kwiląc przeleciało ponad wodą,
poruszyło pławuchę i łan trzciny.
Naraz spieniony step obłoków jęknął,
pod światłem błyskawicy przelamał się w rudawe strugi gliny.

Podniosła się ziemia swobodnym oddechem,
zaszeleściły pierwsze wierzyby – akacje, wiąz,
topole i grusze zawtórowały im drapieżnego wiatru echem.
Na przemian fioletem bucha niebo, ślepi jasnością,
ryżymi oknami obłoków jak stadem byków pędzi.
Grzmot za grzmotem – i ryk. Trzeszczą trzciny.
Strumień widmami błyskawic cięty coraz prędzej
bije płetwami fal o brzegi, wyje.
Zda się – w opary fioletowych chmur świat cały się zmieni.
Nagle zacichło znowu. Pierwsze krople zabłysły jak pieniądź –
już ściana deszczu przypięła niebo do ziemi.

Wiszą jak szklane liny strugi szumiące, przezrocyste.
Z szelestem strząsa wodę młode zielone listowie.
Nie ma już ogni chmur – cichutko –
jakie słowo radość tego słuchania wypowie?
Ulicą wlokły się krowy, unosząc rogami
smutny ryk i wilgoci chmurę.
Wszystkie znasz: czarne, łaciate, rude. Oto znów stoją
i w szafirowe ślepią chłoną drzewa, sine pole.
Z workami na włosach bose wychodzą dziewczyny do krów,
deszcz myje łagodnych ich oczu urodę...

O niebo! drzewa! ziemi! – szumcie!
Z ustami wśpiewanymi w rzeźwość woni do zmroku przestoje.
Ogród szeptów mam w uszach, ręce wyciągam w chłód,
już płyną ręce moje...

*

29

Pluskały strumyki, w gęsty piasek uliczki – ach –
radość spienionych splotów deszczu unosząc,
co lustrami zachodu rzedniał już i mdłał.
Małe dzieci powychodziły z izb i w kałużach
szukając nowego nieba, brodziły długo bose.
Jaskółki zaplątały się znów nad nimi śpiewem,
skowronki na żytnich polach wybuchały dźwięcznym głosem.

O dniu czerstwy jak spojrzenie młodych oczu! –
sinawe chmury pochyliły się ku wschodowi bokiem,
rumiane strugi światła pocięły aleje mokrych drzew
złotoczerwonawym, niewypowiedzianym urokiem.

Cóż czynić w jasności chłodu takiego wieczora? –
Kobiety, nucąc, rozpałyły ognie w izbach.
Starzy powychodzili na dwór, szeleszczący zmierzch
zastał ich jeszcze siedzących na przyzbach.
Błąkały się wśród drzew długo jakieś słowa o mgle,
o dzisiejszych strzałach i o serdecznym powrocie
wojsk, co szły. Oczy zasypiając
napoiły się tak cicho liliowym, szemrzącym uwrociem.

*

Noc, tej nocy – gwiazdy już tylko szeptały ze stawem,
gdy ciszę nagle rozdarł głośny koni kłus.
Pobudzili się ludzie i widząc
pędzący po szosie jeden za drugim wóz,
chylkiem uciekali do piwnic, gdzie w ciemnościach
ukrywszy oczy z przerażenia krwawe,
szeptali o kozakach, o śmierci, o bydle ...
A na dworze świat się rozrósł, wybuchał dymem czerwonych kół.
Krzyki, rżenia, skrzypienie głuche armat –
w tym rozgwarze daleki pożar stogu siana
rósł tak cicho o świcie w niebie złotoczerwonawą malwą.

VI

„Uciekali, och! i jeszcze jak!” – krzyczał długo Stach Chaja
i klepiąc się po udach, w przestrzeń głośno śmiechem rżał.
Kobiety obsypane złotem stały przy płotach w takiej ciźbie,
że byś nie rozróżnił ani głosów, ani ciał,
więc Annie Urbance wystarczyło tylko szepnąć,
gdy – gac! gac! szła jak co dzień na mszę, a płomieniem
przeszła przez chaty wieść, że Zośka Galuska
zginęła od strzałów Moskali dziś rano o drugiej godzinie.

Jak? Kiedy? Dlaczego? – „Wydarli ją w bieliznie
i pod gruszą dali do niej kilkanaście strzałów.
A potem, nim unieśli ją nad staw,
ucięli jej włosy i skórę z piersi zdarli całą”.
Tak mówił Adam Kulig i trwożnie łypał oczami,
nie litując się nad śmiercią Zośki wcale.

Baby kiwały monotonnaie głowami
i piersi ogromne powierzały słonku z sennym żalem.
Około południa chodziły już inne wieści,
że końmi rozdarto ją jak wierzbę
i hen do Wisły żołnierze ją powieźli.

Rosłyby słowa z dnia na dzień, gdyby nie nowe zdarzenie:
około pierwszej gościniec uniósł się i zafalował
obłokami kurzu jak brązowym dymem.
Ach! nieście się ręce w przestrzeń! Gdzie pieśń?
Już za chwilę widać było, że jadą dragoni,
czerwone spodnie, granat na piersiach, wśród przepychu
kolorów
z jakąż dumą śniada stal przy boku dzwoni.

31

Nasi, nasi!... Kobiety, dziewczęta, chłopcy,
nawet starzy, drąc ciszę krzykami, pędzili na szosę.
Nikt nie został po izbach. Młode cieleta, tłukąc się po zagrodach,
plakały swą krzywdę nieprzytomnym z żalu głosem.
Lecz cóż to znaczy wobec płaczu ludzkich serc? Dziewczęta,
tuląc tęsknotę piersi, próżno ścierały z oczu złotą mgłę.
W tumanach światła, kurzu, rżenia kołysała się ona,
przesłaniając wjazd żołnierzy na białą drogę tę.

Pierwsze dzieci zaczęły rzucać czapki piasku w górę,
krzycząc, wieszając się u błyszczących ostrogów.
Konie, konie... Plamy czerwieni, granatu, złota –
nieprzerwany barw i dźwięków korowód.

Witajcie! Oto stoimy ze łzami. Kołuje się nam w oczach świat,
gdy podajemy wam uśmiechy rąk i jasnych splotów...
Konie, konie... Niejedna dziewczyna
wspięła się na żerdź i falujące łono wychyliła zza płotu.

Dragoni krzyczeli po madziarsku i unosząc się na siodłach,
cięli powietrze zdrowym, zmysłowym śmiechem.
Zostańcie! Zostańcie! Kobiety szumiały
wonią siana, potokami zieleni, białego obłoku echem.
Ciągnąć trzeba jednak w przód, co chwila
pada komenda i łań żołnierzy w strugach światła się płoni.

I tylko szepczą drzewa, chylą się, jakby szumem
splukać chciały smutek z niejednej zamyślonej skroni.
Zza zakrętu ukazała się piechota – siwe czaka, siwe mundury,
błyski bagnetów, fala nóg bije o ziemię, dudni.
Kurz na ustach. Śpiewam, dziewczyno, choć ciężko.
Nie patrz! Na następnym postoju usnąć mi jeszcze będzie
trudniej.

Krok za krokiem. Jeszcze, jeszcze...
Długa jest droga, jakim zakończy się dniem?
Na końcu zaczęły wjeżdżać w wieś armaty. Dziewczęta
odchodząc,
tak sennie oczy nachylały znów w kwitnący len.

VII

„Jak? Och, Boże – lecz, powiedz, tak to dokładnie było?”
Adam Kulik stał przed Stefanem i trwożnie patrzył w przestrzeń,
skąd dymy w jego wypełzłych oczach płynęły tęczą siwą.
„Wywlekli, przywiązali do gruszy, przecie wiecie,
a potem strzał, może z pięć strzałów.
To wszystko, lecz co mówić – nie ma jej na świecie.
Ech!...” Noc. Wrzask kozaków, rzenie koni.
Znów matka zawisła przed oczyma naga,
strumienie światel i łapy żołnierskie błędzą po niej.
Zatrzęsło piersią tak nagle, że: do widzenia!
Nie patrząc na Kuliga, podał rękę, ku wsi pospiesznie ruszył.
Tam wozy koło wozów. Parskają konie i rzą,
toczy się w siny staw zamiecią drzew piaszczysta ziemia.
Kilka kroków – i oczy przechyliły się na zachód,
dreszczem ust zawisły nad domem,
który w zaroślach dzikiego wina chwiał się
wonią głosów ulatujących przez okno otworzone.
Dom Róży. Kasztany w siwym mleku chmur,
słońce wychyla się zza stodół, jak płonący snop żyta chwieje.
Aż nagle ten krzyk! Zaszumiał wiatr i na dwór
wypadła Róża, z nią dwa ogromne żołnierskie cienie.

33

„Stefan!” – stanęła i lekliwie dłoń uniosła do rzęs.
Odwrociła twarz. Gdy znowu popatrzył, jej już nie było.
Uciekała – i tylko głośno drgało w czerwieni zachodu jej
rzenie.

VIII

Ta droga wśród pól, wśród łąk i kurzu błędząca,
ach jakim jest ona ukojeniem.

Oto wzgórza płyną w niebo postojem smukłych drzew,
smutną wędrówką wiatraków, wiatru cieniem.
Patrz na północ. Wzgórza się wspięły, by unieść Sandomierz.
Opłukany zielenią przystanął nad rzeką tak cicho,
bielą domów w złocie światła płonie.

To dzieje się daleko, a bliżej
ucięte rzędem chałup, nakryte siwym niebem
odplywa srebrem ruczajów, żyzną glebą niżu pastwisko,
łachę szuwarów od zachodu chłonąc w siebie.

Opuścisz oczy, a tuż u stóp złotym kurzem droga się wiję,
aż gdzieś w pobliskim siole przepada,
które podłużną gromadą sadów jakby przykłękło,
cichym wzgórzom melancholię opowiada ...

*

Pastwisko ... Wskoczył Stefan na konia i kopnąwszy go
w brzuch,
szybciej od wiatru pognał na wzburzonej grzywie.
Kołyszą się w oczach drzewa, spadają obłoki, tętent –
bucha ziemia darnią, lecz to jeszcze nie to. O żywiej!
Spadł znów zębami na kark konia, a wtedy
zapomnieli, czy pędzą po ziemi, czy po czarnym łuku
chmur – strumienie, bagna, znów twardy grunt,
aż padli na ziemię w kopyt głuchym huk.

Nieszybko się podnieśli. Gniady rzał krwią
i słońcu z jękiem podawał oddech swego brzucha: pianę.
A człowiek? Ten leżał na wznak, bez ruchu,
czy jego były szeroko rozwarte, szklane.

IX

Wiało od sadów rzeźwym śpiewem. Czerwień
zapadała w łąki, kwiliły czajki w modrość drzew.
Dymiło bydło, białe dziewczęta jak psy wierne
dłonie chyliły na łona, idąc, zastygały w oczu szept.

*

Wyszła Róża spod kasztanów. W uliczkę akacji
Skręciła, gwar komarów rozwlócząc nogami jak wiosłem.
Na oborze u Galusów ognie. Żołnierze krzyczą: hura!
Od błysków szabel przeniosła wzrok, w drzwi wleciała prosto.

„Co, ty do mnie?” – stanął Stefan, dłoń uniósł do czoła
i nagle tak szorstko cofnął się ku oknu oczyma.
Róża? – jej oczy opadły na twarz jak czarne koła.
Podchodząc do stołu, podtrzymała serce piąstkami obiema.
„Czy nie mogłaby mu pomóc? Może nie ma kto krowy doić?
Jest sam”. – Unosząc oczy, znów promienne jak srebrny mak,
w siwym przedmierzchu jej szept wydłużał się jak sad.

35

„Nie trzeba”. Tak ostro powiedział. Słowa zadrgały chropawe
i znowu pauza: szum puka do okna, za oknem piasek chrzęści.
„Jak – do dragonów? dragonom?” – Uniosła głowę –
drżały mu usta tak strasznie, że osłabła w nagłym skurczu mięśni.

„Do dragonów!” – To tylko bije jak głownia wichru. Kuląc nogi,
cofnęła się, oparła o klamkę, wypadła na dwór.
Wiatraki płynęły górą i zmierzch był tak srogi.
Nie wiadomo, co uczynić z dłońmi, zapłakała pod czarną
chmurą.

X

Trwała cisza, aż jednego ranka
drogi i ulice uniosła w huku nagła wieść.
„Czy wiecie? Stefan Galus uciekł dziś w nocy na koniu”.
„Co? A czego?” – Fale słonecznej zamieci zdawały się nieść
wzburzonych ludzi po nizinym, szerokim błoni.

„Od tygodnia czaił się na więzie,
a dziś przy miesiączku dobrze mu było rzucić.
Wypuścił siekierkę tak ostro,
że odciął pół stopy Węgrowi jak nic!...”

Za stodołami za trzcina brat Stefana
słowa rzucał między chłopców jak bryły ognia:
miesiąc jasno świecił. Zbudziłem się. Stefan stał nade mną
bez czapki, boso, strasznie zmieniony, tylko w spodniach.
Nim zrozumiałem, co mówił, wypadł na dwór
i zaraz jak kamień w wodę przepadł w ciemni.
Zerwałem się po chwili i skoczyłem w stronę zagaja.
A tam żołnierze stoją chmurą na dworskiej ziemi
i rękami co chwila pokazują w stronę Wisły;
Złapią? E, nie złapią! A to kawał hultaja!...

Tak mówili, a ja wiedziałem, że chodzi o Stefana,
więc: buch! Z przerażenia upadłem na trawę.
Ach! co to była za noc. Strzelali za nim,
światła takie wypuszczali krwawe.
Jednak na nic! Nim dojechali do wału,
przepadł w krzakach kępy jak cień.
A dalej już głupstwo. Przepłynął koniem za Wisłę,
nim wzeszedł jasny dzień...

„Tak, tak... Tym Madziarom to solić kury, a nie prowadzić
wojnę”.

Chłopcy nachylali się i znów szeptali długo,
szły od nich echa dzikie, ogromne, polne.
Przed oczyma słupy krwi, kare konie,
księżyc leci olśniewający jak biały pocisk.
Na przemian czerwono, czarno,
świt lot karabinów w jednym błysku wyłocił.

„A wiecie to poszło o Różę!” – Franek Ziolo pociemniał
i drobne pięści zwinął w igły bólu przed piersią.
Chłopcy nie odpowiedzieli, lecz czoła ich
nabrzmiały kłującą decyzji sierścią.
I oto stało się – pod wieczór
ktoś tak wycelował w Różę karabinem,
że trafiona w tył głowy upadła na twarz, krwawiąc ziemię.

XI

Zmienne jest życie – po kilku dniach znów czerwcowy zmierzch
pelen był pieśni pod gwiazd wodopojem.
Wracały wieczorem krowy wolno
na rogach niosąc bladeżłote świece: noc ukojeń.
Niekiedy rzewny ryk rozcinał ciszę, wtedy sine drzewa
podnosiły się z ulic i szklany wiatr rozwijał się szeptem.
O nocy! Rzeko nieznanych słów! lipcowe wonie
znowu rozbłysły tak cicho czadem lepkim,
lecz i one nie skamieniały w mit, bo nagle: alarm!
Więc odjazd, słyszycie, odjazd – i na cóż nasze kochanie?
Nagłe słowa, spojrzenia – śpiew wieczornych trąb był grozą.
Odpadały dziewczęta od ust żołnierskich i z płakaniem
uchodziły w mgłę, niepomne łon i rąk.

Kamieniem urastały potem na piersiach godziny –
i oczy nie mogły unieść ciężaru krzywdy,
świat rósł powoli nie słońcem, goryczą cierpkiej śliny.

*

Na drugi dzień na skrzyżowaniu dróg pod karczmą
znów płowe drzewa witały smutny przemarsz
żołnierzy, co zmudny los unosząc na karkach,
przeklinali świat jak krwią rękami obiema.

Już smukli dragoni przegnali na karych i gniadych koniach,
czerwienią zaciszny kąt spoczynku żegnając na zawsze.
Długo biegły dziewczyny za nimi, rękami śląc ostatnią miłość,
płacz je otulał gorzkim spazmem kurzu jak płaszczem.
Piechota szła wolno, trakt rozpaczy wybijając po drodze.
Choć upał, w oczach ciemno i jak źle!
Nie chce się nawet śpiewać o dziewczynie niebodge.

Krok jeden, dwa kroki... Młodzi żołnierze
odwracali się i w złocie światła nieruchomieli łzami.
Żegnajcie dziewczeczki! dziewczeczki! Źle nam,
pomyślcie choć kiedy za nami.
Karabin tu, a tu serce, karabin...
W kurzawie cieni wśród ogromnej ciszy oddalały się szeregi.
Jeszcze stu, jeszcze dwustu, wreszcie ostatnią czwórkę
wciągnęły między siebie zadymionych sadów brzegi.

Trwogę, czy znacie trwogę ciszy?
Była chwila, że niepokój owadów był jedynym życiem wsi.
Nagle gwizd zuchwały i ostry swawolną pieśnią
jak błysk klingi w powietrze się wbił.

Uniosła Róża głowę i jeszcze szybciej
w fałdach rękawów ukryła ją w milczeniu.
To Stefan, otoczony gromadą chłopców,
wskakiwał na żerdź, a wrzenie
nieugięte jak bunt targało nim,
czerwoną falą gniewu rosło, ręce mu chciało zapalić.

„No cóż, dziewice? próżny płacz,
dragoni i tak tej nocy z innymi będą już spali!”

Odpowiedział mu płacz tak cichy,
że Adam Kulig przeżegnał się i do najbliższej stodoły się skrył.
Mała chwila, a to samo zrobiły dziewczęta –
bosymi stopami wzbijając kurz, pognały do wsi.

Została Róża. Wstrząśnięta jego widokiem aż do płaczu
uniosła wzrok, chciała podejść, przemówić,
że przecież to wszystko o niej nieprawda – to tylko złe słowa
ludzi...

39

Lecz z jego oczu taką siłą buchała nienawiść –
nie, nie wiedziała, jak przebłagać te straszne oczy,
zataczając się, szła, w rozpacz gubiła ręce po zagonach pawich.

*

Drzewa oniemiały w bezruchu,
z gęstwy cieni poczęły się wysuwać pierwsze armaty wozy.
„To nie dla nas. Już znamy tę hołotę!” – krzyknął Stefan
i młodym ciałem na wschód jak do skoku się złożył.

Do rzeki! do rzeki! ... Rozwinęli
jak cięciwy torsy na wietrze, pędzili co sił.

I przewracają się w triumfalnych szescianach kwiatów oblaki,
pękają słupy powietrza od okrzyku ramion.
Złoto, błękit, fiolet... Kto pierwszy? kto pierwszy?

Jeszcze skok, horyzont zapada się czarnosiną plamą
i ziemia płynąc, jak pieśń uderza o serce.

MAJAKI

Znów śniłem, żem się znalazł w przyszłym społeczeństwie ...
Ludzie z ukrytych miejsc napadali na siebie,
by zabić ofiarę dla gigantycznych kwiatów,
chwiejących się barwnymi koronami w niebie.
Zbladłem, gdym przyjrzał się z bliska temu światu.

Nie było śladu miast ni śladu ludzkiej myśli.
Roślinność dyszała tylko zgęszczona, parna.
Kobiety, które poić dzieci w rzece przyszły,
lęk niosły w zarosłych oczach jak chore sarny.
„Męko, więc taki byłby koniec naszych losów!”
Na głos swój, rozdzierający jęk usłyszałem.
Człek-gnom chichocąc, skakał, łuskał ziarno z kłosów,
a ja padałem, padałem ...

ZE SNÓW

Ziemia odsłania się ta sama, a jednak inna.
Wybuchą zieleń i woda źródłana.
Wiosna, która przeżywa swój byt w dwa, trzy miesiące,
trwa zaledwie kilka godzin.
Zielone pola żyt i pszenic.
Korowody wielkich rozłożystych wierzb i grusz.
Narodziny ciepła, szumu, światła.
Tęcza skoczyła z nieba, oplątała tabun gniadych koni –
i trwoży się w obudzonej źródlanej wodzie kwiatodrzewne
słońce.

Stałem, bo z radości nie mogę już iść,
całuję migdałowe ściany powietrza.
Wychodzą rodzice, coś niosą.
Chleb dla ptaków,
a może szczęście, iż mnie, syna, znów spotkali?

Tylko we śnie
tak łagodnie rozsuwają się błękitne przestrzenie,
by wieść mnie – dokąd?
– do kraju przerażenia.

CIEMNOŚĆ

Więc znowu jestem na drodze w rodzinnej wsi.
Noc schyliła zielone drzewa i domy niskie
opłynięte mgłą i ziemią.
Blade światło przepływa jeszcze, lecz księżycy już nie ma.
Mech lśni na strzechach,
czarne kwiaty w ogródkach patrzą, w kamieniu omytym rosą
przegląda się niebo.

Otwieram furtkę, ale oto w domu nie ma nikogo:
ani rodziny, ani zwierząt, ani ptaków.
Biegnę – w innych domach to samo... Nie ma, nie ma życia!
I uczucie zachwytu
przemienia się w jednej chwili w ciemny loskot bólu.

Gdyby po śmierci istniało życie,
tak mogłoby wyglądać piekło.
Nie ogień, który pali –
piękno wywyższone nocą, w którym przyszłoby żyć samemu
wieki

bez głosu matki,
bez oddechu żony i dzieci,
bez nadziei,
z pewnością rozdzierającą,
że nic między niebem a ziemią się nie zmieni.

POŁUDNIE

Tylko żar żyje w powietrzu – i tylko cisza.
On utknął nad ogrodem i stopą zwisa
nad dzikim bzem, nad gąszczem jaśminu i róży.
W dole cień ginie, kształty i zapachy burzy.
Ciężko gnieździć się razem nasturcjom i astrom,
od krwi kwiatów, od soku liści duszno, ciasno.
Jakże lżej chwiać się wiotkim grochom i powojom,
przeskoczyły płot, z śliwą i jabłonią stoją.

Chwilo! Pszczoła spada jak blask, kwiatem się syci.
Gonią się, śmieją chłopcy nadzy, mgłą przykryci.
Dostraja się do nich piskiem czarna jaskółka,
mija się z wodą rzeki, kreśląc srebrne kółka.
A synek mój ściga widziadło, coś w dłoń chwyta.
Westchnie rychło przestrzeń jego krzykiem przeszyta.
Dla niego szum, dla niego nieba wodospady,
ciała kwiatów i drzew powietrzne najady,
a co dla ciebie, wierszu mój, jakie słowo?

Już ty nie będziesz snem, lecz ostatnią rozmową.

GORĄCZKA

Dokąd idę? Dokąd! Latarnia uliczna podpłynęła blisko, że ręką ją odepchnąć, a ja stoję i nachylam się nad kałużą. Twarz – abstrakcyjny trójkąt, oczy zatarte, że ich nie odczytać, nos z wapna lub gliny zeschniętej na kamień. Ktoś wyniósł na pobliski dach tuzin odciętych głów i puścił je jak balony w ciemne przestworza. Może to głowy Ojca, a może Marii, której nie pokochałem nigdy, a którą zabiłem we śnie przed rokiem?

Zerwałem się i uciekałem co sił. Naprzód! Naprzód! Latarnia sięgnęła już nieba, pościg zmęczonych kamienic, grzywy, lby końskie, krzyczące śmierć ludzi wywołanych z pamięci sprzed roku, dwóch, trzech. Odejdź, odejdźcie! Upadłem i razem ze mną upadło niebo, dysząc jak zwierzę olbrzymie, rozcięte na pół. Krew połała się, kamienice jak granaty w niej się rozrywały. Nagle z oparów wychyliła się głowa i potoczyła się po fali i ona jedynie została, wypełniła sobą przestrzeń, starła na proch rośliny, drzewa, kamienie, wreszcie i mnie – i mnie.

ZIEMIA, NIEBO

Czybym uszedł zaledwie kilometr drogi,
czybym przeleciał nad polami, nad lasami
tysiąc chmur, tysiąc mil –
zawsze ujrzę obok dziewann, słoneczników i róż dzikich,
obok dziewcząt na wpół nagich, pływających
z gwarnym słońcem, z obłokami,
sterczące kości ludzkie, które obnażył żar i wiatr.

Komu więc pomogę? Komu?

Wypuszczę psy uwięzione.
Już tak cierpią, że sierść jak trawa im się jeży.
Wypuszczę sny dziecięce, bo natknąwszy się na przesmyk
leśny
ugrzęzły i nie mogą już płynąć przez przestworza,
przez owoce, przez zielenie.
Drzewa rozstają się pod niebem jak ludzie.
Jeśli w pustym obszarze pól wyjdzie człowiek sprzed trzystu
laty,
to co uczyni? Rzuci mi się do stóp i będzie płakał?
Czy strzeli do mnie, bom zawiódł jego wzlot, jego
człowieczeństwo?
Daleko, daleko na podniebnej łodzi są jeszcze ludzie.
Ziemia ich nie przyciąga ni inny świat ...

Komu pomogę? Komu?

LOT

A więc wypadło otwierać przeszłość
jak kartkę zapomnianej książki i żegnać ziemię,
małą zieloną wyspę na wzburzonym oceanie.
Nie nasłuchiwałem już serca,
anim dotykał trwożnie rozdartego wspomnienia,
przepadły lasy i pola
i znalazłem się sam na sam z barwami,
z niknącymi obłokami.
Powietrze miało odcień biały, lecz bielsze były
miasta pojawiające się na wszystkich krańcach horyzontu.
Smukliły się domy ze szkła i marmuru,
radowały się w słońcu podniebne terasy i ogrody kwiatów.
...Ludzi jeszcze zobaczyć tam? Czy szczęśliwi? –
myślałem. Lecz ludzi nie było.
I tylko niewidzialny, a istniejący
za dziesięcioma jeziorami powietrza
stał mój los w dziecinnym znoszonym ubraniu
i odlot mój w nieskończoność barwy błękitnej,
w samo wnętrze słowa –
błogosławił.

POŚRODKU ŻYWIOŁÓW

– Nie przechodź obojętny
obok starości mojej, nieustannego mego umierania –
wołała kobieta klęcząc w ogniu zieleni,
w pyłe czarnym cienia,
pod czerwcowym, otwartym niebem.
Drzewa, kwiaty i murawy
były w tym miejscu inne,
jakby podwojone od istnienia.

– Nie przechodź obojętny – powtórzyła kobieta.
– Przecież byłam tak młoda,
że traciły przy mnie kształt i blask
najjaśniejsze elementy świata.
Przecież byłam tak piękna,
że i ty padałeś na twarz lub kryłeś oczy
i nie mogłeś oddzielić w sobie szczęścia od cierpienia ...

Trwała ciągle w pokornym geście,
lecz już przeświecała ciałem dawnym, skorym do
zuchwalstwa i bólu.
Więc kiedy się podniosła, była bielsza od powietrza
i z wolna wrosła w nieznaną barwę,
lekką jak głos zdumienia.

Uczyniła pierwszy krok przed siebie,
a poruszyły się światła i zielenie
i dały życie tysiącom ogni, nowych barw.
Uczyniła drugi krok,
a uniosły się dźwięki nienazwane –

i słyhać było, jak promień ociera się o liść kasztanu,
o skórę chłodnej wody,
jak strzelają nasiona powietrza.

Lecz było tak, że nawet w jej ruchu najweselszym
widział poeta kształt niedopowiedzianego cierpienia.
Lecz było tak, że nawet w jej ruchu doskonałym
widział poeta to, że słowa dla piękności nigdy nie miał.
Więc kiedy upadł i ogarnął ziemię i obłoków stopy,
przez palce, przez oczy, przez włosy
przepływała mu zieleń zjeżona światłami.
I opadła nań kropla potu, może łza z czoła kobiety,
by przyszłości nie odgadywał.

STÓŁ

Pomówmy prościej. Starowinką mnie nazywasz,
a ty czy na długo wykupiłeś glejt młodości?
Owszem, trzeszczą moje skóry, listwy i wiązadła,
kurzą się czerwone próchnice po szufladach i podcieniach,
ale mam jeszcze siłę i kiedy chcę,
jestem nadal dla ludzi ziemią, niebem czy snem.

I małe dzieci, dotykając moich dziur, zaciemnień, blizn,
widzą tam parujące lasy i pola, miasta
niesione słońcem w głąb nieba i wody.
A starcy, wspierając się o mnie,
odnajdują swoich Zmarłych, mamroczą do nich,
wreszcie szczęśliwie zasypiają.

Tak, ja również widziałem wojny, mory i zarazy,
szalone miłości, klątwy, zaślubiny,
lecz je rzadko wspominam, wolę myśleć
o wypadkach prostych, codziennych jak szelest codziennego
światła,
jak westchnienie liści za mym oknem.

Najbardziej lubiłem zimowe noce,
kiedy śnieg na równinach błękitniał,
a potem jarzył się bielą tak białą,
że mąciło się w oczach studniom, chochołom, chatom.
Więc ledwie cień śliwy przesunął się o krok na dworze,
zaraz któreś dziecko w izbie
śmiało się lub płakało przez sen.
Tupiąc kulawą nogą wołałem wtedy:

– Nakryj się, nakryj, podły stole –
i objuczony chlebem, mięsem i jabłkami
przesuwałem się wśród śpiących,
od rąk im do rąk, od oczu do oczu.

Zdarzyło się tedy, że najmłodszy chłopak,
dziad to, pradziad twój lub stryj,
zeskoczył wówczas z łóżka i przez godzinę jadł nieistniejący
chleb,

a potem trąc oczy od śmiechu,
przysiadł, zasnął przy mojej nodze jak pod gruszą.
Mówisz, że tyś inaczej robił.
żeś ty mnie w konia skrzydlatego, w smoka zmieniał –
cóż, tym lepiej, mogłem cię powieźć i na tysiąc mil,
grzbiet mój twardy, wytrzymały,
marli na nim ludzie,
lecz i zaklinali się nań,
gdy szli po pierwsze szczęście lub na pole bitwy.

ODWIEDZINY

W tak niskiej warstwie powietrza od lat nie żyłem.
Zaduch pleśni miesza się z potem zwierząt,
z ostrym oddechem parującej ziemi.
Jeśli co łagodzi obraz, łaskocze jak słodycz wiatru,
to liście pelargonii – co opadły,
ale jeszcze nie więdną, jeszcze żyją na wilgotnej polepie –
lub źdźbła jęczmieni, traw i owsów
wschodzące na przedprożu mysich nor.

Krzyżaki czy inne monstra pajaków wyruszyły już na zwiad
i ostrzelały wszystkie schowki, przejścia i zakątki,
nagle jednak cofnęły się, znowu przyczaiły,
bo przeplynał przez otwarte okno ślimaczek księżyca
i usiadł łagodnie na środku izby,
jakby tam dopiero usnąć chciał.
Kurczątko zaraz wyskoczyło z kosza
i dygu-dygu całe srebrne zatańczyło w świetle,
lecz zmęczony się siadło obok, też zasnęło.

Dotarłem już do rumowisk i rupieci,
gdzie na czele zgrai stały łapcie, chodaki, buty.
I śmiały się rumiane gęby przyszczypków,
skrzypiały jak nietoperze włochate gązwy,
wzdychały kracząc dziury, odstrzelone zelówki i łaty,
aż spod gwarnego zbiegowiska
wychyliła się szyjka boksowego trzewika,
szyjka, która obejmowała tyle razy nogę mojej matki.
Rozwijając się jak lilia rosła
i zachwiało się już nad nią ciało

jak cień trafiony na śniegu,
że krzyknąłem: – Wstań, o, wstań
i przyjm znowu we władanie izbę,
rzeczy, które jeszcze żyją, jeszcze pamiętają.

Nic, choć zaklinam, nic i później nie nastąpio –
i tylko ślimaczek księżycy złośliwie przewrócił się na bok
i zastygł w stopę ludzką, która mała, mała,
aż stała się tak drobna jak kropla krwi –
i cień dębu przedarł się przez okna od zachodu,
wyciągając ręce przeproszał, wołał.

Więc dokonał się znowu czas,
jak linie krzyżujące się z sobą,
jak punkt, który schwycił i zamknął promienie mowy.

NA SKRZYŻOWANIU

Więc znowu żyłem nie unicestwiając w sobie litości
i nad Wisłą leciałem, nad Odrą, Kamienną i Wartą.
Szarej Narwi dotykałem i złotej Pilicy.
Grosz rzucałem nieomylnie w dół,
gdzie pola, wzgórze przecinał San, Poprad i Bug,
bo jak dziecko ufałem, że kiedyś przyjdzie mi tam wrócić.

Więc znowu żyłem nie unicestwiając w sobie litości.
Wieczorem na skraju lasu stałem
z cieślami, z kopaczami, murarzami
i nie broniłem się, gdy mnie obejmowali,
pijąc, zwierając się i plotąc głupstwa.
Zmieszany z gromadą w pochody szedłem,
wiwatując na chwałę dnia, na radość lipcowej pogody.
I na wyrębie w końcu łapałem w dziecimi cienie,
głosem zwierząt mówiłem do nich wśród paproci i mchu.

Więc znowu żyłem nie unicestwiając w sobie litości.
Nocą pod niebem ciemnym spałem,
złączony z żyłami zieleni, z łagodnymi komarami powietrza.
A kiedy na chwilę budziłem się, tom widział,
jak fałdy ciemności opadając, trąc o siebie,
przepuszczają pierwsze światło,
jak konie kaszlą, szczypią trawę,
łyskając ślepiami, w których nagle ożyły chmury, drzewa,
jak trwożne ciepło świtu, prostując zioła,
zaróżowiło kwiaty aż do krwi.

Z ulic, z alei mgły wypadali już ludzie i szli do pracy, jechali na pierwszą zmianę.

NATURA

Młoda kobieta

leży na wznak w pościeli traw,
dłonie i nogi ułożywszy swobodnie
waży na swoim ciele pół nieba,
drzewo słoneczne, olbrzymie, podbite mchem cieni
i psotami kryjących się ptaków.

Nie potępiam jej,

choć ruch jej ciała nie zapowiada wstydu czy czułości.
Nogi i brzuch prężą się do uścisku,
ramionami rada by objąć i przygarnąć
nawet zwierzęta skaczące z obłoku na obłok,
a nasyciwszy się nimi, zepchnąć je stopą w czeluść wody,
kruszony, poczerniały kamień.
Już biegnie, śmieje się, wyzywa żywioły.
Błyskawice i pioruny uderzając
ogrodziły ją kołem idealnie zakreślonym i morderczym,
lecz ona wciąż tańczy,
wciąż pragnie radości i zabawy.

Nie potępiam jej,

pamiętam ją, jeszcze jak uciekała z dziećmi
pod niebem zgruchotanym pożarami, eksplozjami.
Jedno dziecko niosła na plecach,
drugie wiodła za rękę,
twarz jej bita prętami śnieżycy
przesuwała się wolno jak rzeźba w powietrzu,
i nie było na niej nic prócz troski,
czy dzieci ocali.

To ona wyciągała żołnierzy na pół żywych, rannych,
obmywała ich zmiążdżone ręce, nogi,
była im jedyną łaską i nadzieją w malignie i w konaniu.
Pełne jej piersi, pełne biodra, pełne lędźwie
obsuwały się jak luźna suknia.
Głos jej, spojrzenie, ruch pleców
traciły wdzięk i napastliwość
i niosły tylko żal, tylko litość i współczucie.

Nie potępiam jej,
znowu się kryje w wysokim posłaniu zieleni,
ale jak szybko wyskakuje ku słońcu
ciałem potężnym i nagim.
Prawą nogę postawiła mocno na piasku,
lewą lekko ugięła, jakby czekała na coś jeszcze.
Wie, zbyt dobrze wie, że może dać szczęście
i zaznać, gdy zapragnie, naglej rozkoszy,
od której mąci się wzrok i szyję przesywa nóż zdumienia,
więc znowu kołuje i cieszy się sobą, i woła,
chyląc się przegląda się w trawie, w kwiatach i w wodzie,
w śmiejących się oczach powietrza.

WIERNOŚĆ

Nikt nie zna mojej tajemnicy, ni żona, ni córka,
nikt, nikt. Tak więc siadam tu z nią od lat
jak z śmiertelną chorobą. Od ciągłego zmęczenia
skóra na głowie mi się marszczy
jak błoto wysychające na polnym kamieniu.
Czasem pies podbiegnie, polize mnie z litości
w gołą stopę, czasem ptak
przerazi się mojego bólu i zakrzyczy,
i odleci, zaszyje się w ciemniejących liściach
do późnego wieczora.

Nigdy nie oczekiwałem Tamtej kobiety,
nigdy jej nie kochał.
Tylko raz stałem krok od Niej,
działo się to na zgromadzeniu lub festynie.
Byłem tak młody jeszcze,
że Jej szyja i głowa wzbijały się nade mną
jak słońce niesione na wierzchołkach porannych brzóz.
I co mnie przejęło? Kształt Jej ciała czy ruch,
barwa oślepiająca białością?
Zamknąłem oczy, by nie patrzeć,
nie ukrywać w sobie bólu ani pożądania.

Może kiedy zbliżyłem się do Niej,
podszedł, poraził Ją ostrym gestem lub słowem –
ale zabrakło sposobności, Ona umarła.
Tak więc zbliżenie dokonano się poza ziemią,
poza czasem. Weszła, gdym spał, złączyła się ze mną.

Poznałem po raz pierwszy rozkosz
i była ona zmieszana z upałem ziemi,
z potem kwiatów, z odbierającym pamięć przeświadczeniem,
że kobieta, choć jest ze mną, nie istnieje.

Zapomniałem o zdarzeniu, lecz ono wracało
jak motyw pieśni okrutnej, urwanej nagle
przed ostatnim ciosem tchu.
W każdy przedwieczór zaczęła przychodzić,
kiedy ciemność jak sierść rosla
na trawach, na cieniach, na niebie.
Usiadłem tylko tu na ławce,
a Ona już przy mnie i rękę mi trzyma
i skórą parzy, obecnością swoją
jak rozpaczą przenika mój pólodpoczynek, pólśen.

Była kiedyś wielka i mocna, lecz powoli
traciła ciało i stała się lekka jak dziecko.
Mimo to gdy ścisnęła mi ramię, omal nie łamała mi kości
i drwiła ze mnie, że Jej nie pożądam,
nie mogę się z Nią złączyć, jak dawniej –
że tylko zapomnienia pragnę ponad wszystko.

59

Wpadłem w gniew i porwawszy Ją
rzuciłem w powietrze jak mewę krzyczącą,
jak jaskółkę czarno-białą, co nie umie jeszcze latać.
Tak, od tamtego czasu nie przychodzi,
ale każdej jesieni i zimy, gdy drzewa tracą liście,
zjawia się na północozachodzie.

Nadal wysunięta gałązka topoli
jest Jej uschniętą rączką,
stopa przecież jest jeszcze biała i pełna.
Podtrzymuje światło księżyca, potem je strąca.

* * *

Idę – znowu tu jestem.

Jaskółka zatrzaśnięta w kościele
woła rozzdzierająco,
strzela cieniem poszarpanym
w złote, lecz zamknięte okno –
i ginie, nadal ginie.

Idę – tu na nizinnych polach
gotowy byłem oddać kiedyś życie,
aby złączyć swe ciało z ciałem ukochanej.
Tuliłem się do brzozy białej,
tuliłem się do rówieśnika
i nagle z krzykiem rzuciłem się na ziemię,
widać przeczułem wszystkie mroki
krzywdy i rozkoszy.

Idę – skrzydła jaskółek i ręce chłopców
rozzdzierają powietrze,
a to, co jeszcze się przypomina,
nie zniesie już dźwięku ni koloru,
odbiera mowę...

UCIECZKA

Ciemność nie wynikała z powietrza ni z opadania chmur,
lecz z ziemi zmieszanej z ogniem i żelazem.

A my biegliśmy, objijąc się o drzewa żywe i o siebie,
a my brnęliśmy wciąż
przez trawy tnące jak brzytwy,
przez skomłące wody na dnie,
przez piaski wzbijające się jak gaz
i jak płacz.

Tylko na mgnienie pociski obniżały lot,
ćwiartując światłem ośluchłe przestworza,
a wtedy odwracając się widziałem znowu
puste oczy szyb, puste ganki, puste pokoje,
pozarzynane, walające się w krwi, krowy, psy i konie,
wierzby z powykręcanyimi do tyłu rękami,
wreszcie tysiące ludzi, którzy na bałyku
wychodzili ciągle zza pagórów i błot,
tarasując światła, przejścia i tunele widnokręgów.

– Uciekajmy, bo nas dopędzą i miną – ktoś krzyknął.
– Cóż – odpowiedział inny – nawet gdy dojdziemy do celu,
to co zyskamy?

Syn tam zaprze się ojca,
mąż rzuci żonę, byle tylko
znaleźć się wśród tych, co umkną,
odlecą za chmury, za ostatnie obłoki.

Gotujmy noże i trucizny!

Pomordowaliśmy zwierzęta, kolej więc zacząć zabijać siebie.

Kto pierwszy podniesie dłoń do mordu,
ten pierwszy w przyszłości może zyska sławę i uznanie?

Upadłem, by nie słuchać więcej,
przyłgnąłem do ziół i pełzających korzeni –
i poszły, popędziły jak pługi, wgniatając mnie w ziemię,
stopy, meszty, buciory, protezy, kule.
Nie próbowałem podnieść się, godziłem się z tym,
że zostanę, choćby sam pod niebem.
Było mi przy tym obojętne, czy ognie bomb
rozsarpią mnie na pył,
rozsieją po polach.
Nie otwierając oczu, twarz odwracałem w stronę progu,
który wyzłobiony skwarem, łzami dzieci
nadpływał ku mnie znany, biały.
I położyłem na nim głowę tak spokojnie,
jak ten, co bez trwogi podsuwał ją pod sznur,
bo gardził wrogiem.

Z POWROTEM W DZIECIŃSTWO

Ludzi się bałem, ale i zwierząt, i drzew,
toteż uciekałem w ciemnościach,
przesuwając się najniższymi przesmykami ziemi –
i biegłem, biegłem,
biegłem, biegłem,
aż wreszcie zbliżyłem się na małą odległość do jasnego nieba,
które płynęło za siedmioma wisłami,
za siedmioma górami.

Słońce wzbijało się tu na rosochatym, oblocznym dębie,
gaworząc z ciszą, z zieleniami.

Rzeka płynąc w dole
obsunęła się z piasków i plaż
i ukryła w gęstym cieniu olch i grabów.

Konie i dzieci przyszły,
patrzyły w nią długo,
lecz nie dotknęły jej stopami,
pozwoły jej spoczywać jeszcze i spać.
Dwie topole obok oparły się o siebie lekko,
przemieszały szum i szept.

Uwierzyłem, że to ziemia mojego wybawienia,
że tu już nikt nie poniży mnie, nie skrzywdzi,
i zapragnąłem tam natychmiast przeczłgać się, przedostać.
Ledwie jednak uczyniłem kilka kroków,
gdy wyskoczył mi naprzeciw wielki ptak,
jastrząb, kruk, orzeł –
krzyżąc, że nie dopuści boga ni człowieka.
Pozostać mam tam, gdzie żyłem!...

Uderzył mnie dziobem w głowę,
ale ja nie uląkłem się walki,
chwyciłem go za skrzydło i oderwałem mu je,
jakbym wyszarpał z ziemi korzeń śliwy czy akacji.
Ptak odleciał, przesłonił mi słońce,
wypuścił spoza mnie drzewa, czworonogi mroku,
a powróciwszy już pierwszym uderzeniem
rozplątał mi wnętrzności.
Ja przecież uczepiłem mu się szyi
i ogarniony przerażeniem jak radością
ściskałem i dusiłem go tak długo,
póki nie przestał żyć, nie upadł
razem ze mną na ziemię.

Kiedy przyszedłem do siebie, nie pamiętałem jednak,
dlaczego tak chciwie pragnąłem zmiany
i dokąd chciałem iść?
Obok przepływały przez siebie smugi jasności,
która była trochę przyćmiona,
sypał się przez nią nieustannie proch księżycy.
O dwa kroki leżał czarny szkielet ptaka,
lecz także mi nic nie przypominał.
I tylko że w przepaściach rzeki
leżały nieruchome topole, olchy, graby,
obłoki jak małe utopione dzieci,
chciało mi się podnieść i krzyknąć,
że zostałem sam, sam na świecie.

ZASŁUBINY

Kim jesteś? Kamieniem, drzewem,
ale nie człowiekiem.

Mówię do ciebie, nie widzisz mnie, nie nasłuchujesz.
Idź więc, dokąd chcesz, uwolnij mnie od siebie.

Poeta pojął słowa żony, lecz im nie zaprzeczył.
Do niedawna jeszcze stał, teraz jednak co prędzej ruszył
i minął wierzby, łąki, uliczki dzieciństwa,
przechodząc na rzekę ojczystą patrzył,
na której wyspy jak woły olbrzymie
kładły się na sen, zasypiały,
wreszcie dotarł do placu,
gdzie niegdyś mówił do ludzi, świat zaklinał.

A właśnie o sensację i mord prosił tłum,
choć równocześnie przerażał się sceną.
Na środek placu wyszła jak przed laty młoda kobieta.
Tylko obecnie była naga i tak wysoka,
że równała się z drzewami.
Każdy z widzów mógł dotknąć jej brzucha,
jej ramion i bosych stóp,
ale nie uczynił tego, bo musiałby umrzeć.
I rozstępowali się mężczyźni, z grymasem kryjąc się, uchodząc,
kobieta tymczasem szła coraz wolniej, coraz niepewniej,
jej splecione nogi
okrywało powietrze piszczące, prześwietlone.

Pora na mnie, przecież nie lękam się nikogo –
pomyślał poeta.
Rozepchnął tłum i wspiąłwszy się na palce,

pogładził kobietę, zdjął z jej biodra białego, martwego motyla.
Nie krzyknął, nie przestał istnieć,
stał wciąż z ręką zdumioną, uniesioną w powietrze.
Ludzi jednak ogarnął strach, popychając się i płacząc
poczęli uciekać, zasłaniać twarze i rzucać się na ziemię.
Przeraziła się także kobieta
i usiadłszy na trawie, dłuższy czas nie odezwała się ni słowem,
patrzyła przed siebie niema, jakby zasnęła
lub skamieniała w bólu czy w zdumieniu.

Ciemności falując przemieniały drzewa w podniebne kolosy.
Zboża i trawy, kiedy poruszały się,
bił z nich szum jak krzyk światła.
– Jeszcze nie przyszłam do siebie – wyjąkała kobieta –
a chcę od dłuższego czasu mówić,
zwierzyć ci się jak ojcu.

Widzisz, jestem tak sobą znużona,
że rada bym wejść nawet w ciało zwierzęcia,
byle już nie cierpieć, nie rozpaczać ciągle po kimś,
kto ledwie mnie dotknął, już przestawał istnieć.
Tyś pierwszy ocalał.
Ktoś jest? Myślę, że masz władzę wyższą niż tę, którą okazałeś.
Dotknij mnie raz jeszcze, tylko choć z odrobiną pragnienia,
a może nastąpi to, o czym nawet myśleć nie śmiem.

– I nie ja tobie, lecz ty zadasz mi śmierć –
i zrzucę wreszcie swoje ciało, którego nienawidzę,
zdobędę inną powłokę. Może stanę się sarną leśną?
Śniłam kiedyś, że skaczę za matką wśród słonecznych pni,
a potem zasypiam w gąszczu cieni
pod wilgotnym, świecącym nowiem.

Takim, jak dziś, patrz, ledwie nieba dotyka
i z czego – z oddechu wody, z powiewu kwiatów się rodzi?
Ile zapachów, ile drzeń ziemi
dziś miesza się z sobą i krzyżuje – ile?...
Jeśli nie chcesz mnie młodą,
mogę być stara, z poźlobioną twarzą, jak ty,
nieczuła na doznania rozkoszy,
spragniona tylko twego słowa,
chodząca za tobą jak wspomnienie cichej muzyki.

Ciągle nie mówisz, nie podchodzisz do mnie,
czyżbyś już był tak zrażony do ludzi, do istnienia,
że tylko śmierć cię nęci i o niej jedynie
potrafisz wspominać?
Cokolwiek dzieje się w tobie,
wysłuchaj mnie, dopomóż mi, bym się nie męczyła więcej.
A skoro nie chcesz, żebym była człowiekiem,
będę trawą zieloną, na którą się składziesz,
albo nasturcją z ogródka, słonecznikiem, pełną dziewanną,
które dają przelotny cień dzieciom, motyłom, ptakom.

Zamilkła i popchnięta rozpaczą
rzuciła się do starego człowieka, objęła go za nogi,
przyciągnęła do siebie.
Zdumiała się przy tym, że ręce malutkie ma jak liście maku
i ciałem ledwie wystaje nad ciemną, chłodną trawę.
– Nie mylisz się – pocieszył ją –
i żeby dojrzeć jej oczy, aż się schylił i przyklęknął.
– Twoje ręce, twoje nogi naprawdę krzepną
w korzenie, w pędy, w gałązki
i za miesiąc, za dwa wypuszczą pierwszy kwiat,

który ucieszy ptaki i zwierzęta
i nawet takiego, jak ja, nieżyjącego,
choć żywego wędrowca...

Nie dokończył, bo kobieta
zrównała się z podcieniami rdestu i rumianku
i straciwszy ostatnie promienie kształtu,
jeszcze przez sekundę dygocąc w powietrzu,
ukryła się w nabrzmiałym pędzie tulipanu,
różowiejącym jak palec, jak ucho niemowlęcia,
w gęstym kotłowisku ziół.

Uspokojony poszedł więc dalej
i minął z powrotem lata, wody, wniebowstąpienia dzieciństwa,
narodziny i wesele kwiatów,
pisk śnieżycy i płacz upału
i dopiero pod lasem, gdzie cienie drzew
kładły się na krzyż, to obejmowały,
chroniąc się przed szczęściem nadmiernym i nicością,
zatrzymał się i zwierzył sobie,
że nie powiedział ostatniego słowa,
podobnego do ognia i do porannego wiatru nad trawami,
należało rzec cicho, tak cicho,
żeby świerszcz, żeby cień polny powtórzył –
bywaj zdrowa.

PRZYPOWIEŚĆ

Odrąbano wierzbie konary.
Wypuściła rychło pędy
i świeciła znowu nad wodą,
igrała z promieniami, z różowymi obłokami.

Odrąbano człowiekowi ręce,
upadł zwęglonym tułowiem na cień swój,
krew zakrzepła pokracczym kształtem na ziemi,
podobnym do strzaskanej kolumny
i do dłoni grożącej bogom, niebom, oceanom.

* * *

Przeskok nad latami, wymijanie przecuć,
a na co? Na co?
By oddalić jak najdłużej moment snu,
który co noc to samo nieuniknione zapowiada.

Nie pod błękitnym niebem, na ornamencie cieni stoję,
nie żywię oczu barwami, mieniającymi się słońcami.
Krajobraz jest tak znany, że aż ciemny.
Czy na skrzyżowanie dróg wychodzę,
czy pod śliwę lub pod gruszę,
do której kiedyś twarz przytulałem?
Czy klęcząc chciałbym objąć to miejsce,
gdzie okno ojcowskiego domu rzucało światło,
igrając z ciemnością, z dygotaniem drzew,
każdy mnie omija, nikt mnie nie poznaje.
Więc ja idę obcy, sam,
więc ja biegnę,
wierząc, że przybyłem o lata za wcześnie lub za późno.

* * *

Nie mnie podbijać was jak piłki w locie –
jej pomrok nietrwały,
a upadłszy jak przed męką opędzałem się
przed wrzawą swawolących słów,
bo wśród zakłęb wyszły,
w gwiazdy strojąc się, w czarne zielenie.

Nie mnie podbijać was jak piłki w locie –
myślałem – nieufny jestem i zgorzkniały.
Lepiej, gdybyście jak cienie moich zmarłych
przy mnie stały.

AKT

Kiedy zobaczyłem cię skulonego
między rozpaczą a zdumieniem,
byłem zbyt młody, by uczuć litość nad tobą.
Twoje obnażone ciało
lśniło w cieniu popołudnia matową pozłotą
pszenicznej śniedzi, skamielinami potu.

Kogo wypatrywały twe oczy?
Żony sprzed lat, gdy przez ciemniejące podwórze
szła z tobą łagodna, lecz zdobywczą
w ruchu bosych stóp, w skłonie ciepłego, szczęśliwego ciała?
Zwierzęta mieszały się z drzewami,
z mamrotaniem cieni,
co jak dzieci obsiadły domowy próg.

73

Kogo wypatrywały twe oczy? Sąsiadki młodej,
której niekiedy, żeby nie widzieć, zamykałeś
jak przed słońcem powieki.
Kiedy po wodę szła,
stawiała stopę jak w tańcu.
Wstyd z bezwstydem się łączyły w jej geście,
jak kurz w powietrzu w upalny dzień.

Zobaczyłem cię o krok i pojąłem dopiero,
że w twojej twarzy nie ma nic prócz osłupienia –
prócz znaku, co tak okrutnie świadczy,
że wspólna jest granica rozkoszy i śmierci.
Nie kochałeś ni przez chwilę tej,
którą ściągałeś krzycząc z powietrza i z pamięci,

wyzwalałeś tylko ból, strach,
co jak drut dotykał ci serca i przełyku.

Kiedyś, gdy biegłeś, pod twoją stopą
klaskał piasek
i wystrzelało światło jak fontanna –
dziś upadłbyś w trawę, by się ukryć,
i czołgałbyś się tak długo, póki
nie straciłbyś rozeznania, żeś jest, żeś był..
Bo pamiętanie już nie cieszy, lecz zabija.

ZAKLINANIA

Znowu ożyły moje rzeczy dawne
i litują się nade mną lub mnie mrocznie wyszydają.
– Wybrałeś – mówią – samotność, liczą zatem na nas.
Kiedy zachorujesz z nudy czy z rozpaczyny,
zawsze na chwilę ukażemy ci dom twój przeszły
i ludzi, których kochałeś.
Będziesz mógł ich nawet dotknąć
przez mokrą tkaninę powietrza.
Przyznaj – niewieleś więcej w życiu pragnął?
Miejsca masz teraz mało, ale starczy,
byś uklęknął lub upadł
i wołał, przeklinał, płakał.
Pióro ci zabraliśmy – ty przecież umiesz pisać
palcem na piasku lub jękiem przez sen.
Zresztą gdy gęstnieć będzie zmierzch
i obsuną się powoli ciemności,
możesz zgoła wystukać twe słowa na skórze chmur.
Właśnie, jeszcze ktoś odpozna twój płacz i śmiech
na siódmym brzegu, siódmej gwiazdzie,
jeszcze je powtórzy?

PLAŻA

Od długich dni chodzę brzegiem morza
z twarzą jak kora, ochlustaną piaskiem i solą –
i osądziłem, objąłem we władanie zjawiska barw,
faunę powietrza, plątawisko ludzi.

Dzisiaj jednak pogoda i tysiące nagich
znowu szturmuje wydmy, pobrzeża, plaże,
piaskiem, potem i gwarem wypełnia przestrzenie,
jak owce, jak obłoczki sadowi się w bielach, w zieleniach.
Tymczasem okręty jadą na morze i stają na redach
przeciw potworom, sztormom, najeźdźcom,
a żaglówki mrużą ślepką i tkwią w miejscu
jak bielinki na sztorc nalepione w dzieciennych zeszytach.

Lecz dzisiaj pogoda i we mnie samym złość topnieje jak zima.
Prostuję ochotnie grzbiet i ruszam prędszym krokiem.
Cóż? To samo, to samo, co wczoraj –
pokazy aktów, akrobacji ciała...
Znajoma dama z powrotem wcisnęła się w czarny kostium,
szyję obwiesiła mieniącymi się perłami,
by ukryć blizny skóry, klęskę brzucha,
nie budzi mimo to protestu, tylko litość, uczucie żalu –
i widzę, jak jej palce drżą, gdy wspiera się o piasek,
jak wzrok jej z namysłem wybiega ku mnie,
podobny do lotu trwożnych mew i niepewnych jaskółek.
Ho, a ten mężczyzna układający się martwo w geście,
jak parasolka wbita w piasek.
I dziś nie zdjął ubrania,
siedzi z nieodgadnioną, ponurą twarzą,
lecz nie śmiesz, nie gniewa, bo – myślę –

może w rękawie koszuli ukrywa uciętą rękę
lub może patrząc na ruch młodych mięśni
zapomina choć na chwilę o chorobie,
którą nosi jak kulę pod sercem?

Na to mi więc przyszło,
że gdybym nadął się nawet nienawiścią,
nic bym z siebie nie wydmuchał.
I nie drażni mnie bezwstyd niedorostków,
mizdrzenie się staruch, mamrotanie pijaków
w samym środku słońca.
I w młodych Kiziach kręcących zalotnie zadkami
widzę Gracje, niewinne piękności,
a w muskularnym bubku, co z powodzeniem próbuje
salto, mortale – i zaraz skoku w przestrzeń, skoku w niebo,
herosa i anioła.
Na to mi więc przyszło?...

77

Stałem tego dnia w kolejce,
by zjeść choć talerz zupy,
a potem omijałem warczące auta, wrzaski ulic jak zasieki –
i znowum wracał nad brzeg morza
i tam godzinami stałem lub włokłem się
oczekując uciszenia na ziemi i we mnie.
Okręty zbliżyły się znowu do brzegu,
żaglówki uwolnione wiatrem
zakołysały się, popłynęły za błękit, za horyzont,
nad mołem wzbily się balony i orkiestry,
lecz ja przestałem patrzeć w przestrzeń nieba, w przestrzeń
morza
i spoglądałem tylko w siebie,

tam leżały moje lasy i wody,
tam przedmioty, nad którymi się chyliłem.

Dawno nie odczułem tak otwarcie
tymczasowości istnienia,
toteż usiadłem na przybrzeżnym głazie
jak na druidycznym kamieniu
i tak trwałem niepokodzony z życiem ani z sobą
w zachodzącym słońcu, w podniesionym mroku.

Ciała w ciemnościach obejmowały się,
upadały na piasek,
młode szajki łobuzów, kręcąc się obok,
roili o zdobyczach, o wyprawach,
ale ja już anim nie sarkał, ani nie protestował,
jakbym już uległ, jakbym nawet zło tłumaczył.

Dawno nie odczułem tak otwarcie
tymczasowości istnienia.
Upadłem w końcu na plaży
i spałem śniąc przeżyty dzień,
tylko na odwrót ujrzany i okrutniej –
że to ja z śmiertelną chorobą siedzę na kupce trawy,
a brzegiem morza idzie ktoś obcy, nagi, silny
i nawet się nie odwraca.

PRZEZ KRAJ

Pociąg pędził już od kilku godzin,
mijając wsie, słońca liści, lasy i miasta.
Cienie topniały we wzbijającym się upale,
krzewy i cienkie brzoźki zmieniały się w słoje kurzu.
To tylko wielkie sosny, ciężkie buki
nie drgnęły dłońmi gałęzek,
grubiały od pudru światła i od ciężaru powietrza.
Ale nagle urywały się lasy i wzgórze
i widać było, jak ku wychylającemu się morzu
idą na pół ubrane kobiety, dźwigając dzieci na plecach,
jak pędzą beztrosko dziewczęta, uwolnione z ciał i sukien,
jak nawet starcy wloką się, z trudnością podbijając ziemię.
Gwar, krzyk wypłoszył okręty.
Ustawiając się do słońca odbiły od brzegów,
wypływają na morze.

79

– Od uroku takiego lata aż boli –
ktoś powiedział. Zamknąłem więc oczy,
by nie patrzeć, nie cierpieć po utraconym raj.
Poprzez trącające mnie w oknie powietrze
widziałem jednak otwarte przestrzenie owsów i żyt,
zlepione od potu i żywicy ściany lasów,
znikające we mgłę stacyjki jak mieszkania szpaków.
– Wesele w taki upał! –
Zdanie nie było skierowane do mnie,
a przecież poderwałem się i co prędzej spojrzałem na świat.

Piaszczysta droga, obramiona żytem,
płynęła tuż przed nami ku białej kapliczce

ku wierzbow schylonym cicho nad wysychającym stawem,
a pośrodku niej szli muzykanci i grali,
dzieci pędziły strzelając z pistoletów
i Panna Młoda stała na czele gromady
z odrzuconym do tyłu welonem, jak z połamanym skrzydłem.
Więc pomyślałem, że może narzeczony
potknął się pijany i zasnął w sadzie lub na miedzy,
bo czemuż to podniosła rękę i chyba woła, chyba płacze?

– Natura lubi wciąż sprzeczności –
ktoś za mnie dopowiedział. Na drugim krańcu wsi,
gdzie droga zwężała się w łagodnym uścisku zieleni
i jak kładka się pięła pod nieruchomym niebem,
włókł się koń, ciągnąc wóz z załadowaną czarną trumną,
i szło, potykało się w kurzu, pięcioro ludzi.
Więc pomyślałem dalej, że może zmarły nic im nie zostawił,
bo tak niewielu ich idzie
i płakać nie ma kto, i jęku nawet na minutę
powietrze nie utrwali?

Z rozczarowania i żalu cofnąłem się od okna
i godziny całe szedłem od wiosny do wiosny,
od słowa, co się jeszcze nie stało, ku słowu, które znałem,
aż schyliłem się nad mową, co już była tylko moją.
– Lubie – wspomniałem – gwałtowne mijania pól i dróg,
to proste wejście w Polskę,
która jest czymś więcej niż ogrodem i wieczornym niebem,
jak przyszłość nad łąką, nad lasem stoi.

Pędziliśmy właśnie wzdłuż Wisły,
gdzie czuwały nieboskłony i topole,

gdzie mężczyźni spali przykryci gazetą,
albo biegli za piłką czy tańczyli na zabój z kobietami
po piasku i po trawie –
gdzie malcy, kryjąc się w zaroślach,
zapomnieli o zmęczeniu i głodzie.

Więc pomyślałem na ostatku,
że proporcje ładu są nawet w tym,
iż dziecko chwyta szkiełkiem słońce
i na czającego się pod wierzbą psa je przerzuca.

BALET

Cienie łaszą się do moich kolan,
to psocą, tarzają się jak psy po trawie.
Patrzcie, a tam dalej
źrebięta śpią pod brzuchami matek –
i duże ślepia kobył mętnieją od lęku,
zamykają się przed żądlami powietrza.

Wieczór oślepił źródła, barwy i kamienie
i na linię zdumienia wypchnął
gwary, zapachy, jady.
Tak więc kryjąc się w kosmate liście
ciała dyni owijają się ciemnością jak mułem.
Chytre salamandry ogórków pełzną,
wydzierając ziemię spod stóp koprom, marchwiom, fasolom,
mak drażniony skwirem wróbli, błyskiem pszczoł
strzela gwałtownie, parska ziarnem
na wszystkie strony świata.
I tylko słoneczniki pozbywszy się dziennej straży
prostują się czarnoszare,
dygają figlarnie, wystawiając stopy,
półukłonu próbują i lekkiego obrotu.

I tylko ja, ciesząc się, że jeszcze istnieję,
myślę kwiaty georginii ze skórą, z ustami kobiet
i w pary biorę małą, polną śliwę.



LESZEK SZARUGA

POSŁOWIE

Błękitne szkło głosek

1.

Gdyby stworzyć kategorię poetów osobnych, niemieszczących się w żadnym nurcie czy szkołach, lecz suwerennych odrębną, samoswoją wyobraźnią, Stanisław Piętał musiałby w takiej galerii zająć poczesne miejsce. Charakter tej wyobraźni został zapisany w pierwszym zdaniu otwierającym debiutancki, wydany w 1935 roku tom *Alfabet oczu*:

Przestrzeń już wzięłem w dłoń i oczom nasypałem
błękitu jak lez.

85

W zasadzie cała późniejsza twórczość stanowi do tego zdania przypis – pełen dygresji, ekspresyjnych, naznaczonych dynamiką zmiennych, migotliwych obrazów, w których dominującą barwą jest kolor niebieski we wszystkich swych odcieniach. I nic dziwnego, skoro już w pierwszym wierszu podkreśla poeta: „Zgłoski na ustach są błękitnym szkłem”.

To świat autonomiczny, zaś jego podstawowym materiałem konstrukcyjnym, pierwszą i nieredukowalną zasadą jest światło, potrafiące wypreparować rozmaite tonacje bieli, która, jak w wezwaniu do kobiety pojawiającej się w *Halucynacjach* – „O przelśniona w najbielszy błękit” – stanowi nieredukowalną *materia prima*. Barwy, kolory są tu

przedmiotem nieustannej uwagi, budują napięcia, za sprawą których tworzona jest dynamika obrazu:

Powiedz:
tu cichutko jak skrzypce moja krew,
w białą oddal szum dłoni.

Ta „biała oddal” z otwierającego *Alfabet oczu* wiersza *Pejzaże ze snu* stanowi tło dla dalszego wywodu:

Ptaki lilii, błękit, błękitne smugi,
z twojego czoła wypływa srebrny nów.
Zgłoski na ustach są błękitnym szkłem,
nie mogą złączyć słów.

„Błękitne szkło” zgłosek swym dźwiękiem rozprasza słowa, które zarazem jakby anarchistycznie smakują swą wolność, lecz jednocześnie, skazane same na siebie, nie są w stanie tworzyć przestrzeni porozumienia. W pewnej mierze jest to sytuacja – o której w jednym ze szkiców pisze Bolesław Leśmian – przeciwstawiająca sobie „magię słów” i „magię zdania”. Rzecz w tym – co intuicyjnie wyczuwa w swej poezji Piętaś – że sytuacja ta skazuje człowieka na samotność. Ma to zarówno dobre, jak i złe strony: z jednej – wskazuje na trudności porozumienia, z drugiej jednak – pozwala na swobodną grę wyobraźni, na rozbicie automatyzmu skojarzeń narzucanego przez „logiczną” praktykę językową.

W wypadku tej poezji podstawowym narzędziem ekspresji staje się metafora, jak owe „ptaki lilii” czy „błyskawice natchnień”. Skumulowana w słowie moc – co zostaje wyrażone w wierszu *O poezji*: „Dziś już mam nad tobą władzę, o Siło” – pozwala bohaterowi tych utworów, na przykład

Dla poematu, czuć się przewodnikiem tych, którzy jeszcze nie znają drogi:

W aureoli z dębów i złotych chmur moja poezja
dla was płonie.

Pierwszy wpadam na trakt –
poza mną jak obłok dymiący kurz z szerokich dróg.

Obszar, w jaki wprowadza wiersz Piętaka, to przestrzeń prześwietlona słońcem i jednocześnie wylaniająca się z mgły snu, silnie osadzona w realiach wiejskiego świata bogatej, bujnej natury zdumiewającej swą wielopostaciowością, naznaczonego już jednak podmuchem industrialnego uniformizmu. Surrealistyczna, magiczna przyroda tworzy obszary tej poezji najbliższe, lecz zarazem jakby utracone – powraca do nich bohater tych wierszy nieustannie, co poświadcza wiersz *Z powrotem w dzieciństwo* z ostatniego, wydanego w 1963 roku zbioru *Zaklinania*:

87

Uwierzyłem, że to ziemia mojego wybawienia,
że tu już nikt nie poniży mnie, nie skrzywdzi,
i zapragnąłem tam natychmiast przeczłgać się,
przedostać.

Ale to jednocześnie przestrzeń snu, powracających ob-sesyjnie wątków, swobodnej gry wyobraźni – nie przypadkiem debiutancki tom otwiera wiersz zatytułowany *Pejzaże ze snu*. I nie przypadkiem, jak w *Halucynacjach*, otwarcie wiersza dokonuje się za sprawą przywołania powidoków:

Niebo – płacząca kula z miedzi
(zamknij oczy).

Realna rzeczywistość ulega więc przemienieniu, zostaje wyrwana z doraźności, opanowana magiczną mocą słowa. Ma więc rację Jan Śpiewak, gdy zauważa: „Poezja przysłała do Stanisława Piętaka znienacka, jako akt niepospolitego wzruszenia. Wybuchowy charakter miała jego poezja do końca życia”¹. Przy czym sam poeta ma tego pełną świadomość, gdy w wierszu *O poezji*, otwierającym kolejny tom, *Legendy dnia i nocy*, pisze:

Byłaś siłą, co zmieniała co wieczór ciało moje
w ekstatyczny, zwierzęcy krzyk.

2.

W posłowie do wydanego niedawno wyboru wierszy Jana Śpiewaka, poety, z którym Piętaś był zaprzyjaźniony, pisze Piotr Matywiecki o roli głodu jako doświadczenia kształtującego jego twórczość, zwracając przy tym uwagę na fakt, że „długotrwały głód deformuje psychikę, wywołuje majaczenia”. I dalej: „Głód, jego obsesyjność, zaczyna panować nad wolnymi dotąd kształtami i formami spontanicznie rodzonymi przez słowa. W dzieciństwie poety bezpośrednio zetknęły się ze sobą czas tryumfalnej słownej magii z czasem ponizenia słów”². Nic więc dziwnego, że prezentując wiersze Piętaka, podkreśla Śpiewak znaczenie tego doświadczenia i przytacza fragment wiersza *Dzień z igieł*: „Jednocześnie jakże konkretnie wypowiedziany jest kompleks głodu:

¹ Jan Śpiewak, *Wstęp* [w:] Stanisław Piętaś, *Poezje pierwsze*, Warszawa 1967, s. 7.

² Piotr Matywiecki, *Posłowie* [w:] Jan Śpiewak, *Wybór wierszy*, wybór i posłowie Piotr Matywiecki, Lublin 2012, s. 68–69.

...Gdym szedł szukając, co by zjeść,
na bagnie lśniły się kwiaty – żółtoczerwone kwiatuszki.
Żeby tak móc je w skibki chleba zmienić,
ucieszyłby się może w mózgu rozszlochany oczu
sznur.

Siostra pokaleczyła spojrzzeniami zachód.
Sina obrączka ust
zaklinała,
aż wstydziło się słońce usiąść na jej głodnych
rękach...

Takich dotykalnych wizji głodu nie ma wiele w poezji polskiej”³.

Ale rzeczywiście, jest to jednocześnie czas, o czym przekonująco pisze Leśmian, tryumfu magii słów, awangardowej eksplozji dającej poezji nowe środki wyrazu, ale zarazem w większym niż dotąd stopniu nakazującej jej skupienie na problematyce języka. I chyba większą wagę do tych kwestii przykładali twórcy drugiej awangardy, z którą związani byli urodzeni u schyłku pierwszej dekady XX wieku Piętaś i Śpiewak, niż odkrywający, że „zmieniła się skóra świata”, poeci awangardy krakowskiej. Tu już nie o zmiany zachodzące na powierzchni chodzi, lecz o ruchy tektoniczne przebiegające w głębi, także w głębi duszy, w nie zawsze dających się ogarnąć racjonalnym spojrzeniem poruszeniach psychiki.

W interesującym szkicu *Z doświadczeń głodu i wyobcowania* pisze Wiesław Paweł Szymański o tym, że jednym z głównych motywów wczesnej poezji Piętaśa jest głód, i podkreśla: „We wszystkich wypadkach mózg, jako cen-

³ Jan Śpiewak, *Wstęp...*, s. 8–9.

trum odbiorcze, nie wytrzymuje nacisku bodźców, przechodzi w sytuację anormalną, grożącą mu do pewnego stopnia unicestwieniem. [...] A zatem »mózg« w poetyckim obrazowaniu liryki Piętaka stanowi *pars pro toto*. Zamiast ukazywać »ja liryczne« w stanie maksymalnej emocji psychicznej czy uczuciowej, sygnalizuje poeta to samo, relacjonując stan jednego tylko organu »ja lirycznego« – mózgu⁴. I być może źródłem owych przeciążeń stało się doświadczenie Wielkiej Wojny, dziś określane mianem I wojny światowej, z której epizodów spisany został wydany w 1936 roku poemat *Ziemia odpływa na zachód*. Wszakże w żadnym wypadku nie można tu mówić o jakiejś odmianie *poesia docta*, o poezji „mózgowej” w tym znaczeniu terminu, jakie przydaje mu perspektywa scjentystyczna.

Zajmując o tym utworze pisze Śpiewak: „Dopiero w poemacie *Ziemia odpływa na zachód* przełamuje [Piętak] symbolikę, wprowadza gwarę i język potoczny. Poemat ten przypomina raczej sielankę. Jest mało dramatyczny, pomimo że oparty na wspomnieniach wojny”⁵. Rzecz w tym, że dramatyzm i koszmar wojny zostały tu zaklęte w rytmie opowieści, w jej długiej frazie oraz „błękitnym szkle” głosek wybrzmiewających odległymi rymami i asonansami. Rzeczywiście – świat ulega tu przemienieniu, zaś doraźne doświadczenie egzystencjalne staje się, niepozbawioną okrucieństwa, baśnią. Jak każda baśń, tak i ta opowiadana w tym poemacie, lecz także w późniejszych nieco utworach o silnym nacechowaniu epickim, kryje w sobie tajemnicę. Ale tak jest nawet w wierszu *Miłość*, w którym pojawia się

⁴ Wiesław Paweł Szymański, *Neosymbolizm. O awangardowej poezji polskiej w latach trzydziestych*, Kraków 1973, s. 262.

⁵ Jan Śpiewak, *Przyjaźnie i animozje*, Warszawa 1965, s. 415.

coś bardziej dojmującego niż ból egzystencji: „By ominąć rozpacz istnienia, / począłem gryźć powietrze jak źrebię”. Baśniowa rzeczywistość ewokuje mocne, wyraziste obrazy, jak ten, w którym mowa o sznurze rozszlochanych oczu wypełniających mózg.

Tak też jest w wierszu *Natura*, zamykającym ostatni tom poety. Tu młoda kobieta:

Już biegnie, śmieje się, wyzywa żywioly.
Błyskawice i pioruny uderzając
ogrodziły ją kołem idealnie zakreślonym i morderczym,
lecz ona wciąż tańczy,
wciąż pragnie radości i zabawy.

Nie potępiam jej,
pamiętam ją jeszcze, jak uciekała z dziećmi
pod niebem zgruchotanym pożarami, eksplozjami.

Ten apokaliptyczny obraz, w którym błyskawice i pioruny magicznie chroniące bohaterkę rymują się z pożarami i eksplozjami nieba, to bodaj najbardziej wyraziste przesłanie owej okrutnej baśni, w jaką przemienia Piętnię życiowe doświadczenie. Przy czym owe magiczne moce niemal od początku, a na pewno już w przywoływanym tu poemacie, związane są z postacią kobiety zajmującej w tej poezji miejsce wyróżnione.

3.

Najbardziej istotne jest jednak zjawisko dostrzeżone tuż przed wybuchem II wojny światowej przez Ludwika Frydego w jego komentarzu do *Obłoków wiosennych*: „W wierszach z okresu ostatniego dostrzegamy coraz

pełniejszy tryumf wyobraźni – czystego, precyzyjnego w rysunku i promieniującego blaskiem duchowym obrazu poetyckiego nad metaforą empiryczną i psychiczną⁶. Ten niewielki zbiór przynosi między innymi świetny, doskonale skonstruowany sonet zatytułowany *Upał*, który otwiera obraz wyjątkowo gęsto nasycony kolorami:

Nad ulicą, o którą smukłe ramię
oparła jasnowłosa panna, czerwony
wilgotny kwiat wyfrunął i olśniony
smugą westchnień zastygł na szafiru lanie.

Ten wiersz nie tylko demonstruje artystyczną sprawność tej poezji, skrytą w rozluźnionych rytmicznie bardziej rozbudowanych i epicko zorientowanych utworach, lecz przeciż i tam dającą się dostrzec, ale przeciż również nieco wcześniejszym rozpoznaniem Władysława Sebyły, który omawiając poematy Piętaka, Mariana Czuchnowskiego i Jerzego Pietrkiewicza, pisze: „Myślę, że naszym młodym lirykom ze szkoły lubelskiej czy chełmskiej, czy z »Okolicy Poetów«, czy też z krakowskiej awangardy – najwięcej zaszkodził brak dyscypliny formalnej, zbyt luźne formuły rytmicznej budowy wierszy, zwrócenie uwagi tylko na wyszukaną metaforę”⁷. O ile ta uwaga wydaje się celna w odniesieniu do dwóch pozostałych autorów, o tyle w odniesieniu do poezji Piętaka wydaje się nie tylko niesprawiedliwa, lecz także zwodnicza.

Rzecz w tym, co należy określić jako dyscyplinę formalną. W *Upale* mamy do czynienia z jej klasycystycznym pojmowaniem, lecz w poemacie *Ziemia odpywa na zachód*,

⁶ Ludwik Fryde, *Wybór pism krytycznych*, Warszawa 1966, s. 210.

⁷ Władysław Sebyła, *Trzy poematy*, „Pion” 1937, nr 20.

podobnie jak w wielu późniejszych utworach Piętaka, można się pokusić o inny sposób rozumienia owej dyscypliny. Omawiając przemiany poezji okresu międzywojennego, Michał Głowiński i Janusz Sławiński podkreślają: „O ile idea dzieła poetyckiego jako konstrukcji ukształtowała się w latach dwudziestych [...], to drugi podstawowy sposób rozumienia utworu, pojmowanie go jako wizji, uformował się w latach trzydziestych [...]. I tutaj także wyobrażenia stanowi kategorię podstawową, nie jest wszakże [...] czynnikiem rygorystycznego porządku. Wypowiedź poetycka może być w miarę swobodnym przepływem obrazów, upodabniać się do zapisu widzenia lub snu. Może kwestionować przyjęte wyobrażenia, dotyczące struktury rzeczywistości. O ile w przypadku postawy konstruktywistycznej świat poetycki zyskiwał motywację w konsekwencji, z jaką go budowano, tutaj zyskuje uzasadnienia przede wszystkim w subiektywności podmiotu poetyckiego”⁸.

93

Piętak od początku zdawał sobie sprawę z tego stanu rzeczy, skoro jeszcze w roku 1935 w jednym z artykułów stawia postulat: „Nie obawiać się śmieszności, nie obawiać się odosobnienia...”⁹. W wierszu *Listopad* z tomu *Legenda dnia i nocy* z tego samego okresu skazuje mówiącego na samotność:

Nikt w tej pustce nie zawoła.
Naprzeciw wśród wypelzłych wzgórz i w zgnilej od
wody dolinie

⁸ *Początek polska okresu międzywojennego. Antologia, wybór i wstęp Michał Głowiński i Janusz Sławiński, przypisy opracował Janusz Stradecki, część I, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1987, s. XLVIII.*

⁹ Stanisław Piętak, *Wymiana poglądów*, „Okolica Poetów” 1935, nr 8.

podnosi się jak góra trumien czarna, mroźna cisza
– tyle...

Trzeba iść samemu, wlec się jak drzewo na rozstaju
długo.

W tytułowym utworze ostatniego tomu *Zaklinania* postawa ta znajduje dopowiedzenie:

Znowu ożyły moje rzeczy dawne
i litują się nade mną lub mnie mrocznie wyszydają.
– Wybrałeś – mówią – samotność, licz zatem na nas [...]
Pióro ci zabraliśmy – ty przecież umiesz pisać
palcem na piasku lub jękiem przez sen.

Ów wybór samotności jest gestem z pogranicza etyki i poetyki, jest też – i tu należy się doszukiwać podstaw dyscypliny artystycznej Piętaka – dookreśleniem rozumienia wolności, jak w wierszu bez tytułu pomieszczonym w zbiorze *Zaklinania*:

jak przed męką opędzałem się
przed wrzawą swawolących słów,
bo wśród zakłęb wyszły,
w gwiazdy strojąc się, w czarne zielenie.

To rozróżnienie między wolnością i swawolą słowa wydaje się jednym z głównych rysów charakteryzujących tę poezję, która nie dąży do tego, by słowa „podbijać [...] jak piłki w locie”. Nie dziwi też wyznanie z tego samego wiersza: „nieufny jestem i zgorzkniały”. Poeta wykorzystuje „magię słowa” pochodzącego z zakłęb, opowiadając się przeciw forsowanej przez krąg krakowskiej awangardy „magii zdania”. Pisz o tym Leśmian w *Traktacie o poezji*:

„Słowo chętnie znika w ideowej całości zdania, pozostawiając pierwszeństwo temu ostatniemu. Tego rodzaju poezja pragnie nas czarować nie magią słów, lecz treścią zdań. Ma nawet pogardę dla magii słów. [...] Toteż słowa w wierszach takich poetów zatracają swą rzeczową niezależność, swą uczuciową niepodległość, swą twórczą niespodzianność i nieprzewidywalność”¹⁰. Słowo poezji Piętaka bez wątpienia staje w obronie owej niepodległości uczuciowej i pełnej za tę niepodległość odpowiedzialności.

4.

W puencie *Odwiedzin* z tomu *Zaklinania* czytamy:

Więc dokonał się znowu czas,
jak linie krzyżujące się z sobą,
jak punkt, który schwycił i zamknął promienie czasu.

95

Czas w tej poezji dokonuje się zatem wielokrotnie i wielokrotnie odnawia. Mamy do czynienia z nieustannym ponowieniem. Poeta – bohater wiersza *Przez kraj* – powiadamia nas, że idzie:

od słowa, co się jeszcze nie stało, ku słowu, które
znałem,
aż schyliłem się nad mową, co już była tylko moją.

W wierszu *Plaża* z kolei wyznaje, powtarzając tę formułę dwukrotnie:

Dawno nie odczułem tak otwarcie
tymczasowości istnienia.

¹⁰ Bolesław Leśmian, *Ląka i Traktat o poezji*, Londyn 1947, s. [9].

Pełnia istnienia zatem, można domniemywać, jest osiągalna poza istnieniem pojmowanym jako doraźna egzystencja – we własnej mowie. Za to istnienie brał Piętaś pełną odpowiedzialność. Do pewnego stopnia zatem trzeba się zgodzić z komentarzem Anny Kamieńskiej z przedmowy do wydanego pośmiertnie *Notatnika poetyckiego*: „Dźwigać na sobie w każdej chwili całe swoje życie, całą treść wewnętrzną poezji – był to trud nad siły, ciężar ludzki”¹¹.

* * *

Stanisław Piętaś urodził się 3 sierpnia 1909 roku w Wielosiu, w pobliżu Sandomierza, zmarł tragicznie 27 stycznia 1964 roku w Warszawie. Po podjęciu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1929 roku zadebiutował tekstem krytycznoliterackim w krakowskim „Zniczu”. W 1934 roku ukazał się jego zbiór debiutancki *Alfabet oczu*. W roku 1938 za powieść *Młodość Jasia Kunefala* otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury.

W niniejszym wyborze poezji wykorzystano przede wszystkim utwory z tomu debiutanckiego oraz z ostatniej książki pisarza – tomu *Zaklinania*.

¹¹ Anna Kamińska, *Przedmowa* [w:] Stanisław Piętaś, *Notatnik poetycki*, Warszawa 1966, s. 17.



SPIS TREŚCI

Pejzaże ze snu	5
Dzieciństwo	7
Pierwsza podróż	9
Dynów	12
Halucynacje	14
Orka	18
O poezji	20
Ziemia odpływa na zachód (poemat)	21
Majaki	41
Ze snów	42
Ciemność	43
Południe	44
Gorączka	45
Ziemia, niebo	46
Lot	47
Pośrodku żywiołów	48
Stół	50
Odwiedziny	52
Na skrzyżowaniu	54
Natura	56
Wierność	58
*** Idę – znowu tu	61
Ucieczka	62
Z powrotem w dzieciństwo	64
Zaślubiny	66
Przypowieść	70
*** Przeskok nad	71

Akt	73
Zaklinania	75
Plaża	76
Przez kraj	79
Balet	82
Posłowie	85

Dotychczas w ramach serii Biblioteka Zapomnianych Poetów ukazały się:

1. Jan Śpiewak, *Wybór wierszy*, Lublin 2012
2. Czesław Janczarski, *Wiersze wybrane*, Lublin 2012
3. Olga Dauksza, *Wiersze wybrane*, Lublin 2013
4. Stefan Pomer, *Wiersze wybrane*, Lublin 2013

Wydawca
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
www.teatrnn.pl



Redaktor serii
Piotr Mitzner

Wybór i postówie
Leszek Szaruga

5 BIBLIOTEKA
ZAPOMNIANYCH
POETÓW

Korekta
Krzysztof Gajowiak

Projekt i skład
Michał Kaczkowski

Druk i oprawa
www.petit.lublin.pl

Lublin 2014
ISBN 978-83-61064-59-6

MIASTO



POEZJI



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA